№ 40. Warszawa, dnia 6 Października (24 Września) 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Przędza maligny.

Pogłoski o ustanowieniu granicy celnej między Królestwem a Cesarstwem, obiegające od czasu do czasu szpalty dzienników rosyjskich i miejscowych, zawędrowały już do zagranicznej prasy polskiej, która je rozsnuwa swobodnie.

Korespondent warszawski *Dziennika Poznańskiego*, widocznie nieznający naszych i rosyjskich stosunków ekonomicznych, oblicza prawdopodobne (według niego) szanse urzeczywistnienia tego projektu i proponuje środki zaradcze, mogące zapobiedz smutnym następstwom oclenia miejscowych wyrobów. Poparcie swych obaw widzi on w silnej agitacyi ze strony rosyjskiego kupiectwa i w pokrewnem położeniu Finlandyi, którą pod względem ekonomiczno-celnym jakoby odcięto od ciała państwowego. Co do pierwszego punktu nic powiedzieć nie umiemy; nie wiemy bowiem nawet, czy i jaka agitacya istnieje, gdyż publicznych jej znaków nie widzimy a nie można za nie poczytać namiętnych i niedorzecznych wystąpień „kwaśnego patryotyzmu," wyrażającego tylko osobiste zapatrywania swych wyznawców.

Stosunek zaś z Finlandyą przedstawia się trochę inaczej.

Finlandczycy nakładali wysokie cła na wyroby rosyjskie a sami korzystali z pewnych ulg, dość znacznych, pozwalających im nietyle współzawodniczyć, ile zmonopolizować niektóre gałęzie przemysłu. Takie nienaturalne położenie rzeczy długo trwać nie mogło i zniesienie go jest właśnie dowodem ekonomicznego równouprawnienia wszystkich części państwa. Zresztą Finlandya dotychczas stanowi odrębną całość i granica celna między nią a Rosyą istniała zawsze.

Fałszywem a przynajmniej jednostronnem jest również zdanie, że cały przemysł Królestwa opiera się na wywozie do Rosyi; owszem, dziś jeszcze liczy on przeważnie na miejscowych konsumentów, chociaż przyznać trzeba, że ze swym kapitalistycznym ustrojem bez obcych rynków rozwinąć się nie może.

Dotąd zaznaczyliśmy tylko nieznajomość rzeczy; ale wspomniany korespondent *Dziennika* grozi, czy pociesza się — możliwością przeniesienia głównych ognisk naszego przemysłu do t. z. Kraju Zachodniego. Otóż wysnute z tej bałamutnej nadziei, nader różowo zabarwione wróżby sprawiają po prostu komiczne wrażenie. Najprzód taka fabryczna kolonizacya jest prawie niewykonalną z powodu znacznych odległości, braku energii i nieruchliwości naszych kapitalistów. Udało się to niemcom, bo potrzebowali tylko przekroczyć granicę a na niedostatek pieniędzy, szukających korzystnego umieszczenia, nie cierpią. Przemysł w guberniach zachodnich i południowo-zachodnich rozwinąłby się samodzielnie, gdyby warunki miejscowe mu sprzyjały. Wzrost cukrownictwa, które znalazło grunt odpowiedni, najlepiej świadczy o tem. Trudność w nabywaniu ziemi nie przeszkadza wcale a raczej pobudza do innego użycia kapitałów. Widocznie więc istnieją okoliczności, które stanęły na zawadzie rozwojowi przemysłowemu w tym kraju. Należą tu: zupełny brak w wielu miejscowościach opału, zły stan komunikacyj (bogata sieć wodna istnieje tylko w wyobraźni korespondenta) a głównie znacznie wyższa cena pracy, aniżeli w Królestwie.

Trudności tych odrazu usunąć niepodobna i żadna kolonizacya na prędce im nie zaradzi. Co się zaś tyczy kukułczej zachcianki składania jaj polskiej kultury w cudzem gnieździe, czas już by było dać temu spokój, zwłaszcza zaś *Dziennikowi Poznańskiemu* przystoi pilnować raczej, żeby ziemia polska „nie kurczyła się" na zachodzie, aniżeli myśleć o „rozszerzaniu" jej w przeciwnym kierunku. Wprowadzanie zaś dążeń narodowych do sfery stosunków ekonomicznych utrudnia tylko właściwe ich pojmowanie i doprowadza w rezultacie do projektów o rozgraniczeniu kordonami celnymi różnych części jednego państwa.

Ale według naszego zdania, cały ów projekt wskrzeszenia kordonu wylągł się po prostu w głowach z nader bujną wyobraźnią i puszczony został w świat, ot tak sobie, dla ożywienia letniego sezonu. Złośliwa chętka dokuczenia z jednej strony a lekkomyślna tchórzliwość z drugiej rozdęły tę wieść do olbrzymich rozmiarów, rozniosły ją szeroko po świecie, opatrzywszy zmyślonym stemplem półurzędowej sankcyi i rzekomem współczuciem rosyjskiego kupiectwa. W samej rzeczy zaś i bez żadnej przenośni to tylko — „strachy na lachy." W porę właśnie zjawiła się broszura p. Wrotnowskiego, dobitnie wykazująca, że mniemana konkurencya miejscowego przemysłu z rosyjskim ani przybrała, ani przybrać nie może zatrważających dla tego ostatniego rozmiarów; ma on bowiem za sobą inne środki współzawodnictwa — zapomogi rządowe, łatwość komunikacyj wodnych, obfitość surowych produktów na miejscu itp. Jeżeli istnieje wywóz z Królestwa, to ogranicza się on do tych gałęzi, których wyroby mogłyby być wytwarzane w Rosyi tylko z daleko większym nakładem. Pod tym względem nie mamy szczegółowych wiadomości, ale ludzie świadomi rzeczy (jak np. sprawozdawca z Cesarstwa *Gazety Polskiej)* utrzymują, że do Rosyi idą głównie fortepiany, obuwie, towary galanteryjne itp. a rzeczy te wielkiej konkurencyi tamecznym przemysłowcom nie czynią. Owszem, istnieją jeszcze takie wyroby (chociażby np. maszyny i narzędzia rolnicze), które mogłyby być wysyłane z Królestwa do wszystkich miejscowości południowej Rosyi, zaopatrujących się w nie dzisiaj wyłącznie prawie z Anglii lub Ameryki. Zresztą bilans handlowy Królestwa i Cesarstwa równoważy się dziś zupełnie a zaprowadzenie celnej granicy pociągnęłoby za sobą logicznie opodatkowanie bodajby tylko surowych produktów, idących z Rosyi, co właśnie stanowi największą część tamecznego wywozu. Nie ma więc i mieć nie może kupiectwo rosyjskie poważnego interesu w ocleniu wytworów fabryk polskich, ale gdyby nawet w łonie jego zrodziły się podobne zachcianki, znalazłyby bezwątpienia skuteczny odpór.

Polityka wewnętrzna państwa, wytrwale i konsekwetnie od lat kilkunastu dążąca do ujednostajnienia swego programu, do spojenia wszystkich części składowych monarchii, nie zmieni chyba swego kierunku w sferze, w której takiem odstąpieniem od zasady zrujnowałaby kraj bez osiągnięcia żadnych korzyści. Dla skarbu przecież pożądanym jest rozwój ekonomiczny

bez względu na jego umiejscowienie się, bo *ze stanowiska państwowego* przemysł Łodzi jest również rosyjskim, jak przemysł Szui lub Iwanowo-Wozniesieńska. Państwo powinno regulować stosunki ekonomiczne, może za pomocą właściwych środków powstrzymać wybujałość lub źle skierowaną wytwórczość jednego miejsca i rozbudzić ją w drugiem, ale w interesie całości nie zechce obezwładnić jednej ze składowych swych części i skazać miliony ludzi na przymusową bezczynność i nędzę.

Słowem, projekt ten, zrodzony z fantazyi dziennikarskiej, służyć może jedynie jako ciekawy dokument, stwierdzający, do jakich dziwolągów dochodzi myśl ludzka, karmiona szowinistyczną strawą, i czemu nie uwierzy wystraszona wyobraźnia usprawiedliwiających się tem, że widzieli już nieraz rzeczy, o których nie śniło się filozofom.

J. L. P.

PODATEK PROCENTOWY.

Zniesienie podatku podusznego, który w przeciągu dwóch prawie stuleci stanowił wcale poważną cyfrę w budżecie Rosyi, wywołało w niej konieczność wyszukania nowych źródeł dochodu dla zapełnienia szczerby. Nie będziemy zastanawiali się nad nieracyonalnością usuniętego podatku, ani też nad niezgodnością jego z nowemi zasadami ekonomii społecznej. Państwa, zarówno średniowieczne, jak nowożytne, przy ustanawianiu opłat kierowały się wyłącznie zasadą potrzeby i łatwością osiągnięcia takiego lub innego rodzaju dochodu; reguły ekonomii społecznej powstały dopiero znacznie później, jako wynik wieluwiekowego doświadczenia i krytyki błędów przeszłości. Nie dziw więc, że dawniejsze stosunkowo państwa Zachodu więcej prób ciężkich przebyły i doszły do systematów względnie doskonalszych tak pod względem sprawiedliwości rozkładu na swych obywateli, jako też pod względem łatwości ich poboru i egzekwowania. Być może, że młodociane państwo rosyjskie za Piotra Wielkiego nie posiadało ani kapitałów, ani przemysłu, ani innych zasobów społecznych, na których można było oprzeć system podatków stałych, racyonalniejszy od podusznego.

Praca osobista, praca fizyczna była naówczas jedynym jego zasobem. Dziś nadeszła chwila, gdy uznano możliwem zastąpić ów system innym, bardziej odpowiadającym duchowi czasu, stanowi materyalnemu i umysłowemu społeczeństwa. Jakoż w nowowprowadzonych obecnie podatkach zawsze prawie spostrzegamy większą lub mniejszą dążność do obciążenia nie jednej wyłącznie klasy lub stanu, lecz wszystkich. Wyrazem tej dążności był ustanowiony w roku zeszłym podatek od spadków; objaśnia ją również ogłoszony niedawno w *Praw. Wiestniku* projekt nowego podatku *procentowego*.

Obowiązująca u nas obecnie ustawa (z r. 1865) — jakkolwiek miała na celu możliwie sprawiedliwy rozkład ciężarów, rozróżniając handel hurtowny, detaliczny, drobiazgowy, roznośny, a nadto podzieliła wszystkie miejscowości w państwie na pięć klas, z ustanowieniem dla każdej odpowiedniej stopy opłat — atoli, skutkiem może samej tej drobiazgowości podziału, nie odpowiadała swemu założeniu, gdyż uwzględniając tytuł i gatunek oraz miejscowość handlu, pomijała natomiast rzeczywistą jego siłę, zasobność i obrót pieniężny. Dzięki temu przedsiębiorstwa drobne ulegały stosunkowo większemu obarczeniu, aniżeli wielkie.

Wszelkie towarzystwa akcyjne, każdy dom bankierski zarówno jak każdy handel hurtowy opłacać muszą jednaki (we wszystkich pięciu klasach miejscowości) podatek pierwszej gildyi, t. j. rs. 565 kop. 50 (w Królestwie dotychczas tylko rubli 500). Pojmiemy łatwo, że taka opłata, w miarę większego lub mniejszego dochodu z przedsiębiorstwa, może stanowić bardzo rozmaity od zysku procent i przez to być bardzo uciążliwą dla kupca hurtownego, gdy obrót jego roczny nie przechodzi kilkudziesięciu tysięcy, a tymczasem dla towarzystwa akcyjnego, osiągającego milionowe zyski, stanowić będzie nieznaczący wydatek.

Toż samo dałoby się powiedzieć o handlach: detalicznym i drobiazgowym, z których pierwszy podlega opłacie podatku drugiej gildyi, stanowiącego (podług miejscowości) 120 do 38 rubli, drugi opłacie patentowej od 22 do 8 rs. 80 kop. Zamożność handlu detalicznego może być również bardzo rozmaita. Posiadamy w Warszawie i na prowincyi firmy poważne i ustalone, mające do 200,000 rubli obrotu rocznego, obok przedsiębiorstw, których dochód brutto nie przenosi 10,000 rocznie.

Nadto wszystkie trzy wymienione wyżej kategorye handlu obowiązane są, oprócz opłaty za patent gildyjny lub drobiazgowy, uiszczać pewną daninę dodatkową, czyli posiadać t. z. bilet handlowy, którego cena zmienia się również podług klasy miejscowości, z tą różnicą, że w wypadkach, gdy ktoś posiada kilka interesów handlowych lub przemysłowych, wtedy wolno mu mieć tylko jedno świadectwo gildyjne na dziesięć zakładów pierwszej gildyi, pięć drugiej i trzy handlu drobiazgowego, lecz za to musi posiadać dla każdego pojedynczego zakładu oddzielny bilet odpowiedniej wartości. Ponieważ jego wartość jest znacznie niższą, niż samego świadectwa, i tu więc suma opłat, w stosunku do zysków, mniej uciążliwa dla firmy, posiadającej kilka zakładów handlowych, niż dla właściciela pojedynczego sklepu lub magazynu.

Dla uchylenia tych niedostatków obowiązującej obecnie ustawy projekt zamierza:

1) Ustanowić opłatę procentową od większych przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych. Ma ona wynosić 3% od czystego dochodu, z potrąceniem opłat dotychczas uiszczanych. Do dźwigania tego podatku mają być pociągnięte: przedsiębiorstwa 1-szej gildyi, których dochód *brutto* przechodzi rs. 200,000, oraz 2-giej gildyi, których takiż dochód przerasta rs.

Moje wspomnienia.

Życie jednostek przynieść może ogółowi nieraz ważną i cenną wskazówkę.

. . . .

Do lat szesnastu uczyłam się na pensyi u matki mojej; nie było mi wolno jednak po lekcyach łączyć się, bawić lub pracować z koleżankami.

Pomimo gorących próśb i nalegań, pomimo wstawiennictwa nauczycielek, wychodzić musiałam z klasy po ostatnim dzwonku a zjadłszy obiad w towarzystwie rodziców i ciotki, najczęściej milczących, zasiadałam w gabinecie ojca, gdzie odrabiałam lekcye, on zaś oddawał się drzemce poobiedniej. Nad wieczorem brała mię ciotka na spacer. Herbatę dawano wcześnie, potem kazano mi spać i tak schodził dzień za dniem, tydzień za tygodniem — jednostajnie, nudno.

Raz na miesiąc pozwalała matka ojcu brać mię na balet: cieszyłam się wówczas, ale byłabym chętnie oddała teatr za chwilę zabawy z towarzyszkami. Serce mi darło się, gdy słyszałam zdaleka wesoły szmer ich głosów, śmiech i skoki.

Pewnej niedzieli wykradłam się do nich; po godzinie wspólnej naszej zabawy weszła ciotka i surowo ukarała nie mnie, lecz moje wspólniczki — winy. Przerwałam więc potajemne schadzki, a na wszelkie, późniejsze ponawiane nalegania, słyszałam zawsze jedną odpowiedź:

— Nie chcę, byś mówiła dużo z dziećmi rodziców, których nie znam dobrze: jeszcze możesz się nauczyć od nich czego niepotrzebnego, a tego sobie zgoła nie życzę. Na świecie dużo jest złego: masz dosyć czasu przed sobą na poznanie go. Zresztą życie samo odsłoni ci niejedną wstrętną swoją stronę, lepiej, żebyś jej teraz nawet nie przeczuwała!

Osamotnienie w towarzystwie starszych zaczęło przekształcać mój charakter: nie czułam powagi, jaka we mnie wraz z wiekiem wzrastała, ale czuły ją zapewne koleżanki, gdyż nie umiały ze mną być tak wesołe i ożywione, jak wówczas, kiedym je opuszczała. Z biegiem lat przestałam tęsknić za wspólnemi ich pogawędkami, bezwiednie zamykałam się w sobie, a siły i sprężystość, cała potrzeba ruchu dojrzewającego umysłu zwróciła się ku książkom. Pragnęłam połknąć te wszystkie, które widziałam w szafce mego ojca.

Był on dosyć względny: nieraz przeczytałam przy nim coś, co rozwidniło mi głowę i przyniosło nową jaką wiadomość. Wkrótce jednak straciłam go, a matka, obowiązująca się dla duszy mojej nieszczęścia, które widziała w poznaniu owej „złej“ i „wstrętnej“ strony życia, wzbraniała mi czytania książek tak samo, jak zabaw z koleżankami. Jeżeli jakąś wyjęła dla mnie z szafki, to nic innego, nad żywoty świętych i błogosławionych, opowiadania z historyi kościoła lub te wyjątki z dziejów świata, gdzie żaden Antoniusz i Kleopatra nie występowali.

W piętnastym roku życia dostałam dzieła Hoffmanowej, a potem kilka sentymentalnych niemieckich i czułych angielskich powieści; później dano mi *Pawła i Wirginię*, nad których losem płakałam, umiejąc na pamięć każde słowo ich rozmowy.

Zamknięta w sobie, opatrzona sporą dozą czułostkowości i sentymentalizmu, na świat patrząca przez pryzmat zupełnej niewiedzy i wygórowanego idealizmu, skończyłam rok siedemnasty i — naukę swoją.

Na kilku wieczorach, gdzie—pod dozorem matki—tańczyłam nie tyle, ile chciałam i mogłam, lecz ile mi tańczyć dozwolono, poznałam młodych ludzi, którzy matce i mnie złożyli wizyty z prośbą zarazem o pozwolenie starania się o moją rękę.

Węzły prawdziwej sympatyi połączyły mię z jednym wyłącznie; został on wkrótce moim narzeczonym, a wówczas poczęła się dla mnie era szczęścia.

Nie miałam dotąd przyjaciółek i towarzyszek; prócz rodziców, dla których czułam owo zwyczajne, od lat najmłodszych w pamięć dziecka wpajane i później tak często przypominane przywiązanie — nie kochałam dotąd nikogo; to też Feliks stawał się powoli jedynym władcą i panem mego... serca.

Widziałam w nim całe przyszłe szczęście; był dla mnie ideałem bez zmazy, pieszczotą myśli, które już tylko koło niego obracać się miały. Wierzyłam w dobroć, szlachetność i prawość jego, jak tylko wierzyć może młoda, rozmarzona dziewczyna.

Pozwalano mu siadywać ze mną na kanapie przez całe długie wieczory, całować ręce moje i szeptać półgłosem.

Matka albo ciotka, cokolwiek opodal, robiły coś, jeżeli nie czytały, a my cicho powtarzaliśmy sobie przysięgi stałej, niezmiennej miłości.

Uważałam, iż Feliks często śród najżywszej naszej pogawędki milknął i chmurniał; niepokoiło mię to. Chwilami smutne

50,000. Ustanowienie takiej normy projekt usprawiedliwia następnem dowodzeniem. Właściwie należałoby obrachowywać podatek podług dochodu czystego. Licząc wartość świadectwa 1-szej lub 2-giej gildyi, jako 3% od dochodu czystego, znajdujemy, że pierwsza, (to jest 565 rs.) odpowiada czystemu dochodowi rs. 18,850, druga zaś (to jest — w miejscowościach 1-szej klasy — rs. 120) dochodowi rs. 40,017; gdy zaś przeciętnie można uważać dochód *netto* z przedsiębiorstw handlowych jako 10% od dochodu *brutto*, który w rachunkach handlowych łatwiejszym jest do określenia, przy pociągnięciu przedsiębiorstwa do podatku procentowego lepiej brać za zasadę dochód *brutto*. Przytoczyliśmy treść tych motywów dlatego, że, jak się przekonamy niżej, posłużyły one za powód do krytyki projektu w gazetach rosyjskich.

2) Do opłaty podatku procentowego mają być zobowiązane takie przedsiębiorstwa, które dotąd wolne były od handlowego, jako to: budowa wszelkiego rodzaju statków rzecznych i morskich, machin fabrycznych i narzędzi rolniczych oraz fabryki przetworów chemicznych i farb.

3) Co do handlu drobiazgowego, projekt chce znieść opłaty za bilety dodatkowe, a wymagać nadal tylko jej za świadectwa, których cena ma być nieco podniesiona, skutkiem czego nadal każdy właściciel, bez względu na liczbę należących doń zakładów, będzie musiał do każdego oddzielnie kupować świadectwo.

4) Projekt chce zwolnić od opłaty handlowej rzemieślników, prowadzących zakład bez czeladzi najemnej.

Do obrachowania czystego dochodu z przedsiębiorstw i rozstrzygania kwestyj stąd wynikających, mają być utworzone przy izbach skarbowych oddzielne urzędy (kolegia) podatkowe, pod przewodnictwem prezesów. Towarzystwa akcyjne i wszyscy w ogólności przedsiębiorcy, kwalifikujący się do opłaty podatku procentowego, mają sami składać izbom skarbowym deklaracye, zawierające wszelkie dane do oznaczenia dochodu. Urzędom skarbowym służy prawo sprawdzania ich, nie mogą wszakże żądać od kontrybuenta ksiąg handlowych; przedstawione zaś dobrowolnie te księgi uważają się za dowód zupełny. Wiadomości, zebrane o położeniu finansowem kontrybuentów, urzędy skarbowe winny przechować w tajemnicy, pod odpowiedzialnością, przewidzianą w ustawie karnej. Reklamacye na nieodpowiedniość opłaty mogą być podawane do urzędu w przeciągu miesiąca od daty obwieszczenia cyfry podatku. Skargi na decycyę urzędu podaje się do ministra skarbu.

Za niewłaściwe wykazanie dochodu ma być ściągane od kontrybenta niedobór w ilości podwójnej należącego się podatku.

Projekt niniejszy uległ obszernej krytyce w dziennikach rosyjskich. Jedne zarzuty dotyczyły sposobu zastosowania ogólnej zasady podatku procentowego, drugie zaś—samej istoty szczegółowych propozycyj.

Przejrzyjmy obie grupy.

1) Skoro podatek nowy ma być ustanowionym w mierze 3% od dochodu *netto*, to ten ostatni, a nie dochód *brutto*, powinien być przyjętym za podstawę przy oznaczeniu, jakie mianowicie przedsiębiorstwa mają podlegać opodatkowaniu. Stosunek 10% dochodu *netto* do *brutto* jest całkiem dowolny, żadnymi ścisłymi faktami nieusprawiedliwiony, a przecież z codziennej praktyki wiadomo, że inna jest całkiem proporcya zysków do obrotu w ryzykownym handlu detalicznym, inna w hurtownym a jeszcze inna w przedsiębiorstwie przemysłowem i fabrycznem.

2) Wyżej powiedzieliśmy, że do płacenia dodatku procentowego mają być pociągnięte te przedsiębiorstwa pierwszej i drugiej gildyi, których dochód *brutto* przenosi rs. 200,000 i 50,000. Tymczasem wartość patentu handlowego 2-ej gildyi w miejscowości 1-go rzędu odpowiada zaledwie 40,000 rs. dochodu *brutto*; w miejscowościach niższych klas stosunek ten wypada jeszcze mniejszy: 30.800, 24,600, 15,000 i 12,600. Projekt więc przyjmując za normę 50,000 rs. uwalnia od podatku masę przedsiębiorstw, których dochód czysty znacznie przewyższa stopę 3% w porównaniu z wartością opłaconych procentów: proponuje zaś tak w tym celu, ażeby na początek nie obarczać urzędów skarbowych uciążliwą i, zdaniem projektu, mało użyteczną czynnością. Lecz przez to właśnie zasada sprawiedliwszego rozdziału podatku ogranicza się do niezmiernie małej liczby kontrybuentów. Podług przybliżonego rachunku, da się nim objąć ledwie połowa przedsiębiorstw 1 ej gildyi i dziesiąta część 2-ej.

3) Jeszcze ważniejszym i słuszniejszym jest zarzut, wypowiedziany przez *Ruś*, co do obarczenia opłatami handlu drobiazgowego. Podług dołączonej do projektu tablicy, ogólna liczba świadectw na handel drobiazgowy wynosiła r. 1881 w miejscowościach wszystkich pięciu klas 218,317, z wartością ogólną rs. 2,489,961; liczba dokupionych do nich (podług rzeczywistej liczby zakładów) biletów 314,476 na sumę rs. 1,382,904, czyli łącznie handel drobiazgowy opłacał rs. 3,872,865. Obecnie, gdy projekt chce znieść bilety, a podwyższyć cenę świadectw, biorąc tę samą liczbę zakładów (314,476), cena samych tylko świadectw podług podniesionej stopy wynosić ma rs. 5,035,265, czyli skarbowi przybędzie przez to dochodu rs. 1,162,400. Wynika więc, że nowy projekt dla handlu drobiazgowego nietylko żadnej ulgi nie przyniesie, lecz znakomicie ciężar opłat podwyższy. Stąd rodzi się pytanie: czy on rzeczywiście co do przedsiębiorstw mniejszych ma na celu sprawiedliwszy podział podatku, czyli zaś zmierza wprost do przysporzenia źródeł dochodu państwowego?

Z tych powodów *Ruś* przyznaje całemu projektowi charakter pracy całkiem biurowej, nieopartej ani na dokładnej statystyce, ani na uznaniu rzeczywistych potrzeb handlu i przemysłu krajowego, które dałyby się poznać jedynie po wezwaniu do obrad jego przedstawicieli.

---

przeczucia opanowywały moje serce i umysł, lecz rozpraszała ją zawsze wiara głęboka w miłość ukochanego i w jego prawość bez skazy. Zresztą, nie znając życia i jego możliwych zwrotów, nie mogłam przypuszczać najmniejszej przeszkody w szczęściu naszem, kiedy mu sprzyjało wszystko: błogosławieństwo matki, młodość nasza, a nadewszystko obustronne uczucie—szczere i prawdziwe.

Naznaczono nam już dzień ślubu; zapowiedzie miały wyjść niezadługo. Feliks jednak ociągał się z przyzwoleniem na nie zupełnem, tłomacząc ciągle, iż czeka najakieś papiery, które jeszcze nie nadeszły. Wreszcie, zastawszy mię raz samą zupełnie, gdyż ciotka zachorowała a matkę wezwano na konieczną, nagłą naradę, przysunął się, chciał nawet ukląknąć, ale na to nie pozwoliłam—i rzekł, całując moje ręce:

— Ślub nasz już blisko; mam przedtem jednak jeszcze prośbę do ciebie... wielką, większą, aniżeli przypuszczasz. Twoje serce kochające uwzględni ją: nie mówiłem nic dotąd, liczyłem bowiem na to, że im dłużej ze sobą będziemy, tem goręcej przywiążesz się do mnie, a moje żądanie przez miłość tylko i przez poświęcenie spełnić możesz. Nie odmówisz mi, gdyż uczyniłabyś mię nędzniejszym od każdego ulicznego żebraka; bez ciebie, nie wiem, jakbym dalej istnieć zdołał. Świat byłby dla mnie pusty i głuchy, a ja żyłbym na nim przez obowiązek jedynie. Za lat młodzieńczych podróżowałem dużo; serce miałem wówczas zaledwie rozbudzone do życia, a więc i żądz pełne. Na granicy Włoch północnych poznałem piętnastoletnie dziewczę, ubogą sierotę, będącą na wychowaniu u dalekich krewnych, którą... uwiodłem. Wyjechałem; lecz po roku, dręczony wyrzutami sumienia, wróciłem, by odszukać ofiarę chwilowego zapomnienia. Niestety, zastałem ją konającą: przebaczyła mi z warunkiem, abym, chłopca, którego urodziła, uznał za syna i czuwał nad nim, jak prawy ojciec. Wola konającej, a może w części i przezemnie zgubionej stała się ewangelią mego życia. Nie wiem, czy jestem takim ojcem, jakiego nieboszczka we mnie dla syna mieć chciała: dotąd jednak kochałem go jedynie. Tyś mu teraz część tej miłości zabrała, lecz nie prędzej zostaniesz moją żoną, aż przyrzekniesz synowi memu być opiekunką i matką. A nie odmówisz tego, bo kochasz mię i do poświęcenia jesteś zdolną!

Może mówił dalej; ja jednak już od chwil kilku czułam straszny zawrót w głowie, coś mi w myślach jęczało; oczy patrzyły na świat jakby inny, nie ten nasz powszedni, lecz jakiś zapylony, zamglony, mroczny i głuchy.

Jak przez sen pamiętam, iż powstałam i, wyprostowawszy się, zawołałam suchym, ochrypłym głosem, pokazując palcem na drzwi:

— Idź, idź stąd!

On ukląkł przedemną i chciał coś mówić; z oczu łzy mu spływały, ale ja wołałam ciągle: „idź, idź!“ W końcu dodałam:

— Odpowiem później, teraz zostaw mię samą!

Wyszedł chyba cicho, bo stąpał po dywanie, a jednak ja kroki jego słyszałam, gdyż mi się w głowie odbijały hałaśliwem echem. Potrzebowałam samotności i skupienia. Nie rozumiałam połowy słów, które wyrzekł do mnie; to tylko wiem, że na wspomnienie brzmień pojedynczych, wracających co chwila z falą krwi do myśli, drgała we mnie każda fibra czucia: opanowywał mię szał, nieznany dotąd. Zdawało mi się, że otwarto przedemną otchłań głęboką, z której wiało powietrze, odurzające moje zmysły.

Takiem było spotkanie z pierwszą zagadką życiową, zetknięcie, które mię zastało słabą, bezbronną, nieprzygotowaną zupełnie. W sentymentalizmie rozmarzonej głowy roiłam sobie, że uczucie dwojga ludzi, mających się połączyć na zawsze, jeżeli jest prawdziwe, to jedynem i ostatniem być powinno.

Lecz wyznana dawna miłość Feliksa nie byłaby mnie odeń odłączyła na zawsze. Rozstroił natomiast moją duszę jego błąd. Kiedyś, będąc jeszcze dzieckiem, słyszałam, jak matka z ciotką opowiadały sobie półgłosem o biednej dziewczynie, naszej służącej i jakimś paniczu. Nie wiem, czy ta umarła, ale była bardzo nieszczęśliwa; panicza nazywały obie w oburzeniu nędznym i podłym, powtarzając, że zgubił niewinną. Opowiadanie to przypomniało mi się w całej sile, choć nie myślałam dawniej o niem. Panicz wymieniony przez matkę i ciotkę musiał postąpić tak, jak Feliks. Kombinując bezwiednie, pomimo chęci i woli, czułam ból w sercu, jak gdyby ktoś powoli kłuł je ostrzem noża. Traciłam ideał wymarzony, traciłam wiarę i ufność w tego, którego kochałam: Feliks stanął przed oczyma myśli moich splamiony hańbą.

(D. n.)

GÓRA I MYSZ

(z powodu wydawnictw Macierzy).

Toć chyba z nas prostaczków szydzą
Panowie ci, co książki piszą:
Gdzie oni *takich* ludzi widzą
I gdzie rozmowy *takie* słyszą?!

K. Sw.......

Widocznie już tak zapisano w księgach przeznaczenia, że najszlachetniejsze zamiary, najlepsze chęci przeradzają się u nas w wykonaniu, że przy naszej gospodarce społecznej najzdrowsze ziarno, rzucone śród sprzyjających warunków w urodzajną glebę, wydaje pomimo to nader mizerne plony. Któż nie pamięta, jakie marzenia obudziła Macierz polska przy swych narodzinach, jak donośnie rozgłaszały jej chwałę trąby i puzony dziennikarskie! Przyznać należy, że nadzieje były po części uzasadnione. Na czele instytucyi stanął człowiek, cieszący się popularnością ogromną a przytem rozumiejący charakter i zadanie literatury ludowej. Tak przynajmniej wnosić można było z kilkakrotnie wypowiedzianych przezeń mimochodem zdań. Pieniądze na zaspokojenie pierwszych potrzeb znalazły się i to dość znaczne, a niezależność moralna i materyalna pozwalała stawiać najpiękniejsze wróżby. Należało więc tylko iść prostą drogą, wskazaną i utartą już przez pokrewne instytucye u innych ludów słowiańskich, oprzeć wydawnictwo na zasiłkach czytelników, nie dbając o nic i nikogo więcej. Ale my ani prostą drogą, ani po ziemi chodzić nie umiemy; nam potrzeba zawsze albo napowietrznych szlaków, albo krętych manowców, na które zapędzić się łatwo, ale wybrnąć z nich trudniej. Zamiast dostarczać ludowi zdrowej i posilnej strawy umysłowej za przystępną cenę, zamiast starań o rozszerzenie czytelnictwa przez umiejętnie zorganizowaną kolporteryę, kierownicy Macierzy wytknęli swej działalności cele, dla nich samych niejasne a powodzenie jej oparli na opiece umyślnie powołanych dobrodziejów, wybranych ze sfer, które dążeń i interesów ludu nie rozumieją a dla prawdziwej oświaty nieraz są wrogami. Owoce takiej roboty mamy przed oczami. Macierz wydała 8 czy 9 książeczek, których prawdopodobnie nikt nie czyta, chociaż rozchodzą się tysiącami. Wadliwie pomyślane konkursy nie mogły wywołać dziełek, posiadających lepszą wartość. Książeczki, pod skrzydłem Macierzy wydane, nie odróżniają się niczem od tuzinkowych wypracowań, w jakie obfituje nasza literatura ludowa. P. Grajnert bez towarzystwa i pomocy robi to samo i tak samo a Promyk nawet więcej i lepiej.

Dziś usamowolniony włościanin czuje potrzebę uporządkowania i rozjaśnienia swoich moralnych i społecznych poglądów. W pracy tej współudział inteligencyi, rozumna książka byłaby mu bezwątpienia pomocną. Ale na to potrzeba zajrzeć w głąb chłopskiej duszy, wybadać najtajniejsze jej pragnienia, i wtedy dopiero pomódz mu w uświadomieniu sobie swego położenia i swych dążeń. Nie należy więc narzucać reguł wyrosłych na innym gruncie i w innej atmosferze, lecz ułatwiać pracę, dając jej za podstawę pozytywne, naukowe wiadomości. Chłopa do czytania zachęcać nie potrzeba, dość włożyć do rąk książkę, którą zrozumie, która trafi do jego przekonania. Kierownicy Macierzy powinni zapytać p. p. Breslauera i innych, których senniki i powieści rozchodzą się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, w czem tkwi tajemnica tego powodzenia? Nie są to przecie utwory, pisane specyalnym stylem, ale dają odpowiedź na główne pytania chłopskiej myśli, zaspakajają jej ciekawość. Prawda, że odpowiedź ta jest fałszywa, że krzewi pojęcia szkodliwe, podnieca instynkty najgorsze — chłop ją przyjmuje na wiarę, bo mu (mniejsza o to jak) rozwiązuje zagadki, których sam rozplątać nie umie, a na właściwą, uczciwą wskazówkę dotąd czekać musi. Tymi nieokreślonymi porywami prostej duszy do światła i prawdy objaśnić również można zauważoną niejednokrotnie bigoteryę włościan piśmiennych. W czytaniu książek duchownych, w tajemnicach uroczystych obrzędów szukają oni wciąż tej „żywej wody,“ którą ugasić by można pragnienie ducha i również szkodliwe, ale znajdują uspokojenie w usypiającej jednostajności praktyk religijnych. Odgłos tego rozstroju i łamania się ustalonych tradycyjnie zasad życia dostrzegamy jeszcze w rozpowszechniających się coraz szerzej legendach o „słusznej chwili,“ o „sprawiedliwym czasie,“ o spadłej z nieba książce, w „której wszystko napisano,“ o nadzwyczajnych zjawiskach natury: ognistych słupach, złocistych literach na obłoku itp. a nadewszystko może w wzrastającej liczbie przestępstw, w zmieniającym się ich charakterze itp. objawach, które wszyscy widzą a nikt nie próbuje racyonalnie objaśnić, starzy zaś chłopi twierdzą, że „ludziska osłabli.“

Ten właśnie olbrzymi przewrót, jaki dokonywa się w sferze moralnych pojęć ludu, nie zauważony prawie został przez naszą inteligencyę. Gmach dotychczasowych wierzeń rysuje się, pęka, przez szczeliny wciskają się nowe myśli, nowe dążenia — wytwory zmienionych stosunków. A z dniem każdym przybywa ich coraz więcej, rosną w siłę, szukają sobie dróg nowych i rozsadzają stare ściany, tylko patrzeć jak dom cały runie w gruzy. Trzeba więc co prędzej stawiać nową budowę, ale nie według planu architektów, którzy z chałupą chłopską chcieliby połączyć właściwości (tylko według zmniejszonej skali) plebanii i dworu. Obowiązkiem inteligencyi jest, co najwięcej, dostarczyć jedynie odpowiedniego materyału, a bądźmy pewni, że z tej cegły lud sam wystawi najdogodniejszą dla siebie i najodpowiedniejszą warunkom swego bytu — chatę.

Zobaczmyż teraz, co mu daje ta patronatem szlachty i księży zaszczycona i szkaplerzem wszelakiej prawomyślności ozdobiona Macierz.

P. Gawarecki na 100 prawie stronicach rozpisał się *O złem i dobrem gospodarowaniu.* Przedmiot to nie małej wagi i przy jakiem takiem wykonaniu książeczka przynieść by mogła sporo korzyści. Ale autor, zamiast praktycznych wskazówek jak urządzić gospodarstwo, szeroko rozprawia o potrzebie pracy, o korzyściach nauki, o szkodliwości pijaństwa, objaśniając wykład niepotrzebnymi zgoła przykładami Dopiero w końcu, wybrnąwszy z tego potoku ogólników, zastanawia się króciutko nad kilku ważniejszymi błędami włościańskiej gospodarki, do rzędu których zalicza: *żądanie cudzej ziemi* i niepoprzestawanie na małem, starając się wykazać, że ofiarą takiej chciwości padliby najpierwsi drobni gospodarze „jak to już nieraz były tego przykłady w zagranicznych krajach“ (kiedy i w jakich?). Inne wady: płytka orka, marnowanie czasu i zły rozkład robót, nieumiejętność spożytkowania nawozów itp. Wszystko to, wyliczone pobieżnie, na niewiele się przyda; kilka bodaj rad, kilka przepisów praktycznych miałoby dla czytelników pewniejszą wartość. Więcej nic— oprócz tu i owdzie rzuconych frazesów o błogosławieństwie bożem i konkluzyi, że pracowitość, trzeźwość i oszczędność to podstawy dobrobytu. Rozumowanie autora niedbałe, odskakujące nieraz od przedmiotu; nie waha się on również naciągać faktów dla podparcia nimi tezy (np. str. 57, pijaństwo wystawione jako główna przyczyna nędzy irlandczyków itp.).

Jeżeli jednak dziełko p. Gawareckiego stanowi bezużyteczną tylko gadaninę, to ramota p. Starkla p. t. *Lekarstwo na biedę* jest wstrętną i szkodliwą. Już sam pomysł jej razi fałszem. Niejaki Macierzyński, niby kupiec niby filantrop, jeździ po wsiach, wożąc z sobą nietylko towary, ale i ruchomą wystawę rolniczo - przemysłową. W karczmie rozwadowskiej zastaje kilku pijących chłopów i wdaje się z nimi w rozmowę. Jeden z nich, stary Szymon, uosabiający niby poczciwość i zdrowy rozsądek w każdej sprawie, występuje w obronie dworu; drugi — Filip przedstawia typ pieniacza, Franek — lekkomyślnego chłopka, dającego chętnie ucho szkodliwym podszeptom, zły zaś duch przewrotnych, antispołecznych zasad obrał sobie mieszkanie w ciele niejakiego Jurka, kędzierzawego bruneta z ponurą miną, łypiącego wciąż oczami, że aż białka widać. Całe to towarzystwo rozmawia o biedzie chłopskiej. Przyłącza się do nich Macierzyński i zaczyna prawić kazanie. Rozumie się, że Jurko i Franek pobici zostają na wszystkich punktach i to nieraz w dziwny sposób, jak np. na str. 7, gdzie nagłe wejście kilku ludzi przerywa spór między Szymonem i Frankiem, w którym ten ostatni ma słuszność. Nie są również bez podstawy zarzuty Jurka (str. 21). Macierzyński zwycięża ich za pomocą dowodów, niewytrzymujących nieraz krytyki, jak np. kiedy powstaje przeciw zamianie powinności naturalnych (szarwarku) na pieniądze i t. p. Nazajutrz kupiec rozkłada swoją wystawę i objaśnia ją ciekawym przy pomocy księdza i nauczyciela. Tu znowu fałsz. Kupiec tego rodzaju jest nieprawdopodobnym, niemożliwym a zresztą działa wbrew swym słowom, zaleca bowiem pracowitość a przez trzy dni bawi i durzy chłopów wystawą lekarstw na biedę. Zapewne lekarstwa te nie są pozbawione względnej wartości, ale znowu brak ich nie tworzy nędzy. Inne są jej przyczyny w Galicyi i nawet ostateczny środek zalecany przez autora — rózga biedy nie wykorzeni, jak nie wybiła z głów inteligencyi ciasnoty pojęć, egoizmu, fałszu itd. Wspólna pomoc, którą także Macierzyński zaleca, zrobićby mogła wiele, ale autor pojmuje ją w dziwny trochę sposób, uważając za najwspanialszy jej objaw—fabryki, gdzie przedsiębiorcy wraz (?) z robotnikami stwarzają takie dzieła, „o których starym królom ani się śniło,“ chociaż rękami niewolników wznosili piramidy w Egipcie. Wątpimy, czy los wolnych robotników o wiele jest lepszym od położenia niewolników egipskich a już nawet przez różowe okulary optymizmu dojrzeć trudno w działalności fabrykantów stosowania zasad wzajemnej pomocy.

W końcu ów samorodny socyalista Jurko okazuje się zbójem i złodziejem, idzie więc do więzienia, wraz z nim pakują niewinnego Franka—ma to być karą za jego lekkomyślność, ale właściwie jest tylko potwierdzeniem wypowiedzianego przezeń zdania, że pańskie sądy o chłopa nie dbają. Pomysłu uosobienia zbrodni i wad w rusinie wówczas, gdy polacy na ogół są uczciwi, ani rozumnym ani szlachetnym nazwać niepodobna.

Opowiadania dla ludu p. Machczyńskiej grzeszą znowu frazeologią i sentymentalizmem. W jednej z nich: *Przechadzka Andrzeja,* powtarzają się kilkakrotnie mgliste wzmianki o jakimś Jerzym, co do którego żadnych objaśnień autorka nam nie daje. W powiastce *Czcij ojca i matkę* szlachetna postać Michalewicza nie potrzebuje wcale wyliczania dodatkowych zasług (np. tego, że był profesorem literatury polskiej) Michalewiczowi, jako rusinowi z rodu, nie dodaje ta okoliczność patryotycznej aureoli. Wyobraźmy sobie np., że niemiec, opisując życie bohatera polskiego, stawi mu za zasługę to, że był pierwszym profesorem literatury niemieckiej... w Poznaniu! Historyczne opowiadanie: *Dziedzic i kmiecie* nie

ma nawet wartości dobrych chęci, bo apoteozuje rzeczy niesympatyczne i nienaturalne. Tatarzy porywają dziedzica i kilkoro czeladzi. Chłopi przez trzy lata z ciężkim mozołem zbierają grosz i wykupują nie swych braci i synów, lecz... pana. Cóż to za służalcza wierność! Nie — nie obrażajmy psów, bo w niebezpieczeństwie ratują naprzód swe szczenięta, aniżeli pana. W innej znowu powiastce: *Nagroda i pomoc*, cnota biednej komornicy zyskuje uznanie wymarzonego Towarzystwa, które wspiera biednych i uczciwych ludzi i obdarowuje bohaterkę stoma rublami. Jest to znowu fałsz nietylko moralny, ale faktyczny, bo towarzystwa takiego nie ma i być nie może.

P. Czaja, nauczyciel ludowy, autor premiowanej rozprawki *O rodzinie*, należy bezwątpienia do liczby ubogich duchem wioskowych pedagogów, całujących dziedzica w rękaw od surduta a księdza w rękaw od sutanny i cieszących się łaską c. k. inspektorów szkolnych. Praca jego, to również gadanina bez celu i bez treści; zresztą na taki temat trudno coś porządnego napisać. Pomijając sprzeczności w rodzaju pracuj i oszczędzaj, i bądź zadowolony z tego, co masz (na cóż więc oszczędzać!), pomijając zalecanie kłamstwa w dobrym celu (str. 28 i 29), nie możemy zgodzić się na wprowadzanie dyabła do rozumowań autora. Dziury i braki w swej argumentacyi łata on niezbyt szczęśliwie to dyabłem, to znów naprzemian — opatrznością.

Opowiadanie o królu Janie III p. Wandy Podgórskiej wad wybitnych nie posiada, ale i zaletami wybitnemi pochwalić się nie może. Jest to prostu dość szczegółowe streszczenie, napisane stylem potocznym i zrozumiałym. Nie będę z autorką polemizował o jej poglądy; niepotrzebnie tylko starała się wykazać osobne zasługi Jana III dla ludu; chyba lepiej nie należało poruszać tej kwestyi i nie próbować dowodzić tego, co się dowieść nie da; dosyć było poprzestać na zaznaczeniu czynów jego dla całego narodu. Wiele wiadomości podano niepotrzebnie, wpływ Maryi Kazimiery, intrygi Paców itd. czytelnika w tym razie nie obchodzą.

Jedynem dziełem, mającem jaką taką wartość, jest *Pszczelnictwo* p. Krasickiego. Autor nie wstępuje w ślady domorosłych reformatorów społecznych, szukających rozwiązania kwestyi agrarnej w głębokiej orce, pszczelnictwie a czasem nawet w jedwabnictwie. Wykształcony pszczelarz zna wybornie ujemne i dodatnie strony swego zawodu, patrzy na rzeczy trzeźwo i zysków wielkich nie obiecuje; owszem, dowodnie nawet oblicza, że są niemożliwymi. Praca ta byłaby bez zarzutu, gdyby autor nie wdawał się w naukowe objaśnienia, gdzie wiedza jego przyrodnicza kompromituje się niepotrzebnie i musi uciekać się do współudziału opatrzności, dla której ul nie jest bynajmniej właściwą siedzibą.

Język tych książeczek, z małymi wyjątkami, przystępny, ale metoda dowodzenia za pomocą porównań i analogij — najfałszywsza. Najprzód porównanie—to nie dowód, a powtóre jest to jeden z najtrudniejszych sposobów rozumowania, dostępny tylko dla przyzwyczajonych do gimnastyki umysłowej. Niestety, wszyscy prawie pisarze ludowi nie wolni od tej wady; owszem, przekonani są raczej, że takim sposobem najlepiej przemówią do nieoświeconych.

P.

SPOŁECZNE KIERUNKI W TEORYI I W ŻYCIU.

I.

Bawiąc od lat kilku za granicą, nie wiem, o czem wróble w Warszawie na dachach świergoczą, ale co do znanych mi pism, to one od dosyć dawnego czasu musiały przekonać swych czytelników, że kwestya socyalna „grozi“ światu całemu. Do wielu więc niezwyciężonych zawikłań przybywa w myśli naszego znękanego niesystematycznością ogółu nowy znak zapytania, bardziej niż inne męczący groźną nieprzenikalnością. Stanął on wobec matek i ojców, tracących lub przynajmniej drżących o utratę swych synów, a często nawet córek, jak mara, niespodzianie zjawiająca się z pod ziemi. Cały naturalny bieg historyi, który z kolei rzeczy pod obrady ulepszającej swój byt ludzkości podsunął sprawę milionów, skazanych na możność śmierci głodowej, ukryty był przed naszemi oczyma. I dziś słusznie niejeden, oglądając się ze zdziwieniem dokoła, zapytać może: skąd, dlaczego dziś, czemu nie jutro, co ja na to poradzę? Nadto owa paląca kwestya wysunęła się odrazu wobec nic niepodejrzywającej rzeszy w kształtach strasznych, jak widmo rozwścieklonej nędzy, potwornych, jak bluźnierstwo. Jedną ręką z lekkomyślnością waryata wstrząsa pochodnią mordu i pożogi, drugą z okrucieństwem zapamiętałej młodości wskazuje potępiająco na cały świat uczuć, najżywiej drgających w sercu narodu od dawna.

Że tak jest, że, jeżeli nie ogół cały, to w każdym razie pewne części naszej średniej inteligencyi tak sobie tę rzecz przedstawiały, postaram się dowieść w dalszym ciągu mej pracy.

Sprawę, dla której należało zdobyć całą miłość społeczeństwa, które najmniejszego powodu nie miało postawić się względem niej surowo, pokazano jakby naumyślnie w najnieponętniejszej formie i popsute odrazu.

Wbrew wszelkim twierdzeniom historyi, socyaliści przywłaszczają sobie monopol w sprzyjaniu losom nędzy, a nasze pisma, najbardziej nawet przeciwne, stwierdzają to codzień. Czy zdarzy się najmniejsze poruszenie polityczne, lub religijne, w którem zabłąka się paru szewców i kilku ślusarzów; czy zmowa, jakich od lat stu odbywają się codzień setki; czy zgromadzenie robotników; czy wreszcie zwykła bójka — natychmiast prasa, ani pomyślawszy o bliższem zbadaniu rzeczy, o prostem choćby postawieniu paru hypotez, palcem Kassandry wskazuje nurtujące powody ekonomiczne, a więc... rewolucyę socyalną! Jestto omamienie podobne temu, przeciwko któremu protestuje bajka o pustych i pełnych beczkach. Jaskrawy socyalizm rekrutuje najgorętsze głowy i temperamenty, a w dodatku sam, gdzie wiedzie do nawałnicy, groźnej dynamitowymi błyskami, z łatwością przyciąga wiele różnych mętnych żywiołów, gotowych dla hałasu poświęcić najboleśniejszą sprawę społeczeństwa. To też rewolucya społeczna pieni się wysoko jak napojona gazem woda, a patrzący zdaleka ani podejrzywają, że rzeczywistego płynu starczy tam ledwie na pokrycie dna.

Wobec takiego stanu rzeczy sądzę, że wskazanie dwu kierunków, dążących literalnie do tegoż samego celu co i socyalizm, tylko odmiennemi drogami, będzie bardzo pożądanem, zwłaszcza, że nigdzie nawet śladu spotkać niepodobna, aby ktokolwiek u nas istnienie tych kierunków podejrzywał. Mówię tu o szkole Comte'a i Le Playa.

Ale muszę naprzód zrobić jeszcze jedną uwagę.

Zwykle bieg spraw w naszem otoczeniu wywiera tak przeważne wrażenie, że uważamy rozwój własnego społeczeństwa za pewien rodzaj typu i bardzo często z tego punktu sądzimy sprawy obce, chociaż te zawsze niemal płyną odmiennem łożyskiem i przez to niezupełnie takim samym podlegają prawom. Ponieważ u nas żadnych społecznych termometrów na szerszą skalę nie ma, więc od czasu do czasu spostrzegać się daje zapatrzenie na którego z sąsiadów i fałszywe wyrokowanie nietylko już o stanie zdrowia reszty Europy, ale nawet i naszym. Dziwna rzecz. Umysłowa działalność Francyi jest w tej chwili w pewnem omdleniu, czasowem zresztą; największa ilość tłomaczeń, streszczeń, plagiatów bierze się z wydań paryskich, chociaż niemcy są pod tym względem, jak na obecną porę, bogatsi. Francya jest w najogólniejszem przynajmniej znaczeniu typem rozwoju politycznego, ona toruje innym drogę i wszelkie kwestye najbardziej zasadniczo rozstrzyga; tymczasem pewnej części naszych statystów stan rzeczy w Niemczech głowy zawraca. Stąd się wzięły okrzykiwania w ostatnich miesiącach o upadku liberalnych sztandarów. Przyczyniły się do tego i najświeższe wiadomości o walce upartych „manchesterczyków“ z „kateder-socyalistami.“ Klasowo-mieszczańskie samolubstwo pierwszych hańbę rzuca na „liberalne“ ich hasła a natomiast patronowane przez drugich edykty państwowe mają wyrwać z ludzkiej natury dzikie popędy zdzierstwa i krzywdy bliźniego, stanowiąc alfę i omegę społecznej medycyny. Państwa tymczasem odnośne wspierają się na żywiołach konserwatywnych. Rzeczywiście egoizm kastowy i narodowy polityczno-parlamentarny stronnictw niemieckich, nacyonalno-liberałów i austryackich centralistów, oburza, ale czy się coś podobnego dzieje w Anglii, Francyi, Włoszech, Szwajcaryi? Zupełnie nie. Nigdzie się na to nie zanosiło, aby wstecznicy mieli przypominać postępowym partyom potrzebę stosowania do życia uczuć społecznych; nigdzie stronnictwa, do których miano liberalnych da się zastosować, nie splamiły się dążnościami, któreby uzasadniały u nas tworzenie tak zwanych zdrowo-konserwatywnych lub postępowo-wstecznych programów (wbrew zwyczajowi postępowy żywioł okazał się względnym i umiarkowanym, a wsteczność stanowczą i gruntowną). Podawanie też za przyczynę własnego bytu przykładu sąsiadów, zamiast bądź ogólnie społecznych, bądź miejscowych racyj, prowadzi naszych proroków, z pretensyą do wiekowego doświadczenia i rozwagi, w sfery równie pociesznych kombinacyj, jak młodych socyalistów zapoznanie się z „burżuazyą,“ z „walką klas“ i „dyferencyacyą społeczną.“ Usadowiwszy się na wysokościach ekonomicznego światopoglądu, dopatrują na horyzoncie drobnych szczegółów naszego życia równie dziwacznych objawów, jak turańscy pasterze wśród konstelacyj niebieskich.

Pozytywizm.

O ile sądzić mogę z osobistego poznania inteligentnej części społeczeństwa, jak również z tego, co czytam w literaturze, socyologiczna teorya Comte'a, pomimo całej popularności, jakiej używało nazwisko autora, nie lepiej nam jest znaną, niż treść ksiąg sybilińskich; chociaż naturalnie pojedyncze pomysły—dzięki wpływowi, jaki prace twórcy pozytywizmu na ogólny bieg myśli w Europie wywarły—przeniknęły do nas i głęboko nieraz wsiąkły w podstawy pojęć zasadniczych o świecie.

Jest to dziwne, gdyż wszelki wysiłek umysłu Comte'a zawsze i jedynie skierowany był ku odkryciu dróg, po których kroczą narody, usystematyzowaniu społecznych usiłowań, a przez to ku szybszemu

zbliżeniu ludzkości do idealnego stanu. Dąży ona—według jego zdania — i tak w tym kierunku, ale manowcami, nie mając światła nauki. Żaden też pomysł Comte'a należycie pojętym być nie może, jeżeli gruntownie nie zrozumiemy jego społecznego punktu wyjścia.

„Wszelkie sposoby widzenia rzeczy — mówi on — albo pojęcia nasze o czemkolwiekbądź, jak tylko stały się pozytywnemi, mogą i winny być uporządkowane według społecznego stanowiska, ażeby wszystkie nasze rzeczywiste wiadomości zbiegały się w pożytku ludzkości.“

Zjawisko takiego niezwrócenia uwagi staje się tem dziwniejszem, że, ściśle biorąc, społecznej teoryi, opartej na nauce i obejmującej całość potrzeb ludzkich, wyprowadzającej wszystkie przejawy i warunki życia z jednego punktu i doprowadzającej je do celu, po Comcie nie posiadamy. Tłomaczę sobie to tem, że w pierwszych chwilach naszej umysłowej działalności po 63 roku więcej obchodziły młodzież polską ogólno filozoficzne zasady, metoda badań i nauki przyrodnicze, niżeli socyologia. Dziś zaś, kiedy kolej przyszła na tę ostatnią, pierwszeństwo zyskały wywody ekonomistów, a na szerszym filozoficznym widnokręgu zajaśniał ćmiąc wszystko dokoła, blask czarującej prostoty Spencera. Nie rozumiem, na jakiej podstawie uznano (Prus) tego uczonego za wyższy szczebel w rozwoju myśli od Comte'a. Czyż by dlatego, że żyjąc później, miał na swe usługi teoryę Darwina? Spencer — o ile go znam — dał w socyologicznych pracach swoich całe stronnice umiejętnie pozbieranych faktów, pojedynczych zagadnień, ale całej teoryi praw rozwoju ludzkości nie stworzył.

Dziś nawet polski czytelnik niema skąd poczerpnąć bliższych wiadomości o nauce społecznej Comte'a. Jest wprawdzie dziełko p. Limanowskiego; nie radziłbym jednak brać się doń osobom, nieznającym przedmiotu poprzednio. W dziełku tem na 155 str. grubego druku ma się zawierać całokształt systematu Comte'a, zawartych w 6 przeszło 500 stronnicowych tomach. Jeżeli prócz tego weźmiemy pod uwagę, że Limanowski pomieścił tam liczne i długie dopiski, że robi od siebie wiele krytycznych uwag co do teoryi i co do historyi rozwoju myśli Comte'a, to okaże się stanowczo, że trudno było bardzo dać obraz dokładny.

Trudność ta możeby się i dała choć w części przezwyciężyć, gdyby p. L. nie chwycił się był metody najfatalniejszej, zdolnej zdyskredytować każdą wielką myśl. Nie widzimy u niego wcale logicznego procesu, wiodącego od punktu wyjścia do ostatniego słowa, nie mamy argumentacyi, ale sam tylko wywód.

Teorya obrotu ziemi dlatego jedynie czekała dwa wieki na uznanie, że sędziowie nie znali i znać nie mogli dowodów wielkiego astronoma. Tak samo rzecz się ma z teoryą Darwina. Było to naturalne i konieczne, że ogół, mający pewne zakorzenione pojęcia o naturze człowieka, oparte czy to na teologicznych, czy naukowych racyach, oburzył się, usłyszawszy jedynie lakoniczne streszczenie: człowiek pochodzi od małpy. Gdyby również wprzód postarano się o przekład broszurki Schäffle'go, jeżeli już nie dzieła samego Marxa, niż zaczęto szerzyć hasła wspólnej własności, z pewnością nie wypowiedzianoby o socyalizmie tylu pociesznych niedorzeczności.

Cała też krytyczna część pracy p. L. stosuje się zawsze do ostatecznego wyniku, nigdy do uzasadnienia. W ten sposób czytelnik łatwo może sobie stworzyć pojęcie o pozytywizmie, jako o zlepku mniej więcej niedorzecznych utopij (niedorzecznością było i kręcenie się ziemi bez udowodnienia). Wreszcie tam, gdzie p. L. nie zbyt trafnie pojął myśl Comte'a, czytelnik ani spodziewa się tego.

W przyszłości postaram się zrobić szczegółową analizę tej pracy; teraz tylko mimochodem zaznaczam to, co dotyczy dotkniętego przezemnie przedmiotu. Dodać muszę, że znaczenia broszury p. Limanowskiego nie wyprowadzam wyłącznie na podstawie domysłu. Mam dowód, że działała ona zrażająco na czytelnika, pomimo pochwalnych przymiotników, jakich autor pozytywizmowi nie szczędził. Jeden z moich przyjaciół pisał mi:

„Przeczytałem niedawno znakomicie napisaną rozprawę filozoficzną Bolesława Limanowskiego: *Socyologia Augusta Comte'a* i wiele, bardzo wiele stracił w moim przekonaniu ojciec pozytywizmu; za wiele musiałbym robić wyciągów, żeby się przekonać, do jakich absurdów doszedł Comte, pomimo, że wyszedł z punktu bardzo racyonalnego.“

Przystępując więc do streszczenia maleńkiego skrawka systematu Comte'a, staję wobec trudności wielkiej. Nie mogę wskazać czytelnikowi źródła, z którego mógłby się zapoznać z całością, a cząstka jest z nią silnie, nieoderwalnie związana i wobec niej tylko posiada doniosłość. Muszę też stanowczo wyrzec się wszelkiej pretensyi dokładnego i wyczerpującego wykładu pozytywnej ekonomii i wynikającego z niej sposobu rozwiązania zagadnień społecznych. Należy czytać samego mistrza lub przynajmniej obszerne popularyzacye francuskich i angielskich jego uczniów. Pracą swoją chciałbym tylko zwrócić uwagę ludzi, zajmujących się sprawami społecznemi, na głębokie i wszechstronne pomysły największego (?) myśliciela XIX wieku.

(D. c. n.)

KOBIETA WOBEC NAUKI.

U nas, gdzie gruba zasłona przesądów i zacofania okrywa oczy większości, gdzie wszystko prawie, co tchnie szerszą ducha swobodą, przestrasza umysły mas — nie przestano się jeszcze obawiać wyższej nauki kobiecej. Obraz żony, jako domowej lalki, niewspółmyślącej i współczującej ze społeczeństwem, nieumiejącej krytycznie ocenić wiedzy lub nieuctwa mężczyzny, obraz anioła, pragnącego uszczęśliwiać swe otoczenie, lecz bezsilnego—jakże powszednim jest dla nas!

Tylko jednostki nieliczne, tylko szlachetniejsze umysły i dzielniejsze charaktery wyrwać się są zdolne z otchłani zabobonów, krępujących kobietę. Jeśli która zapragnie zgłębić wiedzę ludzką, tyle trudności znajduje zwykle w dopięciu swego celu, tyle przeszkód pośród swoich i obcych, tyle zapór złamać musi, iż tylko wyjątki, obdarzone wielką energią, odczuwające silnie moralną potrzebę stania się „człowiekiem“ — zdolne są wszystko pokonać.

Kilka miesięcy temu, znany fizyolog prof. Sieczenow w Petersburgu, po egzaminie na Kursach żeńskich dziękował swym słuchaczkom słowami prawdziwego uznania i wyraził nadzwyczajne zadowolenie z ich niezwykle logicznych odpowiedzi, świadczących o zdolnościach, sumienności, pracy i wielkiem przejęciu się nauką. Nie jedyny to przykład. We wszystkich uniwersytetach zagranicznych kobiety także niezwykłą odznaczają się pracowitością, a te fakty stanowią najlepszą dla nich broń w walce.

Nie mam tu zamiaru szczegółowo rozbierać procesu wyższej nauki niewieściej, ani wykazywać olbrzymiego jej pożytku dla społeczeństwa; wiąże się to bowiem z ogólną sprawą znaczenia nauki dla postępu. Nie będę także kreślił obrazu szczęśliwego pożycia małżeńskiego, w którym mężczyzna i kobieta pojmują się wzajemnie a dzieląca ich przepaść znika. Chcę tu tylko rzucić kilka myśli ogólnych, uwzględnić kilka okoliczności, które każdego chyba człowieka, odczuwającego doniosłość wiedzy, współżyjącego z ludzkością, skłaniać winny do szerzenia na najszerszą skalę wyższej nauki śród kobiet.

Jak z jednej strony w błędzie są ci, co wskazując niższość umysłową kobiety w porównaniu z mężczyzną, zapominają, że przeciętnie występującą tu różnicę przypisać należy wyłącznie spaczonemu kierunkowi wychowania umysłowego, które zmienić jesteśmy w stanie, tak znów z drugiej strony mylą się i ci wszyscy, co żadnej różnicy nie odnajdują. Na stan naszej działalności umysłowej składają się najróżnorodniejsze warunki moralne i fizyczne. Myśl jest wytworem skojarzenia najrozmaitszych pojęć; pojęcia powstają z wrażeń, jakie otrzymujemy ze świata zewnętrznego. Osobniki różne fizycznie wrażliwością zmysłów i nerwów swych, posiadają odmienną zdolność do działań umysłowych, zależnych od swego materyalnego podkładu. Kobieta i mężczyzna różnią się między sobą daleko więcej, niż sądzi każdy, nieobeznany z prawami fizyologii.

Kobieta nietylko otrzymała zupełnie inną rolę w przedłużaniu istnienia gatunkowego człowieka, a w związku z tem funkcye jej życia specyalny noszą charakter, lecz w całym jestestwie jej odrębne w subtelnościach nieraz widzimy cechy. Inaczej oddycha, inaczej śmieje się i płacze, inaczej mówi, inną posiada wrażliwość nerwów, inaczej też czuje niż mężczyzna, a w pracy umysłowej różnić się także musi pod wielu względami. Trudno powiedzieć, na czem polega owa odmienność; teraz bowiem wogóle większość kobiet umysłowo tak odbiega od mężczyzn, iż niepodobna wskazać wyraźnie granicy. W tej stronie duchowego życia, którą zowiemy charakterem, a która dostępniejszą jest do badania u kobiet, aniżeli będąca jeszcze nieledwie w uśpieniu działalność ich umysłowa, odczuwamy wielkie odskoki pomiędzy mężczyzną i kobietą, a jakkolwiek i one trudne są bardzo do psychologicznego podchwycenia i dlatego sprzecznie określane, tem niemniej wszyscy zgadzamy się na to, iż odskoki owe, biorąc ogólnie, istnieją.

H. T. Buckle starał się dowieść, że kobiety z natury więcej są dedukcyjne, a mężczyźni bardziej indukcyjni, że pierwsze większą posiadają zdolność do wypowiadania ogólniejszych poglądów, do wyciągania wniosków z niewielkiej ilości faktów. Przyczyny tej natury umysłu niewieściego łatwo sobie objaśnić. Kobieta, skutkiem całej organizacyi swej, większą odznacza się wrażliwością, nerwy jej są bardziej czułe, skutkiem czego żyje ona więcej w świecie idealnym, duchowa jej działalność w większem znajduje się wciąż pobudzeniu, niż u mężczyzny; dzięki zaś większej wrażliwości, łatwiej ona odczuwa zmiany zewnętrzne, ciekawość jej bywa silniej zaostrzoną, przenikliwość bystrzejszą. Nie może tak spokojnie i tak głęboko widzieć, jak mężczyzna, lecz za to zauważa szybciej to, co widzi. „Stąd też — powiada Buckle—zwykle one odrazu podejmują myśl i prędko przystępują do rozwiązywania zagadnień w przeciwieństwie powolniejszemu i trudniejszemu postępowaniu badacza indukcyjnego.“

Z różnicy fizycznych właściwości umiano skorzystać, dopuszczając kobietę do pewnych zajęć, które są daleko dla niej odpowiedniejsze i które ona z przyczyn organicznych daleko snadniej wypełniać zdolna. Są przecie całe działy przemysłu większego lub mniejszego, w których daleko użyteczniej od mężczyzny pracować może.

Zupełnie to samo odnośnie do pracy umysłowej. Jakość i właściwość tej pracy bywają bardzo rozmaite; ludzie zdolni często w pewnym tylko kierunku specyalne okazują siły. Otóż, jeśli skutkiem takiej różnicy we właściwościach procesów myślenia pewne trudne zagadki ludzkości tem prędzej, tem dokładniej i tem wszechstronniej bywają rozwiązywane, im większa ilość umysłów nad niemi pracuje, to rozwiązanie będzie jeszcze dokładniejszem i jeszcze bardziej wszechstronnem, gdy przystąpią do niego umysły niewieście z całym zasobem nowych, odrębnych uzdolnień.

W różnicy zatem umysłowej spoczywa, zdaje mi się, najgłówniejsza korzyść, jaka dla postępu wiedzy i cywilizacyi wypłynie z udziału kobiety w pracy naukowej, z połączenia się jej z mężczyzną w dziedzinie filozofii, rozwiązującej zagadnienia bytu i stosunku człowieka do przyrody i ludzi do siebie.

Przystępuję do uwydatnienia drugiej, olbrzymiego znaczenia korzyści.

Pewien uczony doktór angielski twierdził, iż dopóki kobiety nie zaczną studyować narówni z mężczyznami medycyny, dopóty narażone będą na cierpienia, których lekarz mężczyzna nigdy odczuć i pojąć w całej subtelności nie zdoła. Kobieta, posiadająca jednaką organizacyę i jednakowym zupełnie podlegająca chorobom z innemi przedstawicielkami jej płci, może daleko łatwiej niż mężczyzna i pomyślniej dać im pomoc. Że tak jest w samej rzeczy, widzimy z licznych przykładów, jakiem zaufaniem i powodzeniem cieszą się lekarki.

To samo zupełnie da się zastosować do wszelkiej gałęzi wiedzy ludzkiej. Nauka najwznioślejszą (?) jest wtedy i wtedy tylko „nauką“ nazywa się słusznie, gdy jest uprawianą dla odkrycia prawdy i przyczynowości w naturze, a nie dla praktycznego zastosowania; wtedy bowiem nie przestaje w całej pełni hołdować najhumanitarniejszej i najwszechstronniejszej idei utylitaryzmu, dążąc do rozwikłania zagadnień bytu, umysł ludzki dręczących, do postawienia pewnych ideałów, do wykrycia dróg postępu i sposobów przyspieszenia go, do uszczęśliwienia człowieka. Dlaczegoż więc pracownikami w tej olbrzymiej winnicy ma być jedna tylko połowa ludzkiego rodu, skoro ogólne interesy ludzkości obu jednakowo płci dotyczą?

We wszystkich zagadnieniach, nad któremi rozmyśla filozofia, kobieta zarówno jak mężczyzna uwzględnianą być musi. Czy w kwestyi stosunku człowieka do reszty przyrody, czy stosunku jego do społeczeństwa, wszędzie obie płcie zawarte są w pojęciu „człowieka.“ Ale tak, jak z natury lekarka łatwiej wnika w cierpienia niewieście, niż mężczyzna, tak też i na każdym kroku w rozstrzyganiu licznych spraw społecznych i ekonomicznych, w ocenianiu i uwzględnianiu różnych psychicznych objawów, kobieta tylko utrafić jest zdolną we właściwe jądro potrzeb swego rodzaju i złagodzić walki jego moralne najtrafniejszą i najkrótszą drogą. Jak hygienista mężczyzna i hygienista kobieta są w stanie wspólnie najwszechstronniej przedstawić błędy hygieny ogólnej, tak też ekonomista mężczyzna i kobieta najwszechstronniej mogą uwzględnić wszystkie strony społecznego rozwoju.

Oto druga ważna korzyść z dopuszczenia kobiety do uczestnictwa w pracy umysłowej. Trzecia wreszcie, ogólna, jest, według mnie, następująca.

Nauka cywilizuje ród ludzki. Każdy znaczniejszy krok w historyi poprzedzany był zawsze przez odpowiedni ruch myśli. Gdy nauka wytwarza sobie pewne pojęcia o stosunku człowieka do natury i o stosunku jego do społeczeństwa, gdy pojęcia te coraz bardziej ustalają się, płyną one szerokim potokiem ku masom, powodują przewroty naprzód w ideach, później zaś i w życiu praktycznem. Taki jest bieg postępu cywilizacyi.

Chociaż wielu uczonych sprzeciwia się stanowczo temu, aby ogólne zasady, do jakich doszła nauka teoretyczna, filozofia naszego wieku, miały wpływ na zwrot w pojęciach społeczno-humanitarnych naszej doby, że tak jest wszakże, najmniejszej, zdaje mi się, nie ulega wątpliwości. Nowożytne ideje społeczne, kiedykolwiekbądź dojrzeją i w praktyce zastosowane będą, stanowią wspaniały wytwór ducha, bo są szczytem idei miłości ludzi. Otóż teraz właśnie, kiedy ideje te zaczynają coraz więcej rozwijać się, potrzeba coraz więcej umysłów, zajętych posuwaniem wiedzy naprzód, ale jednocześnie kochających ludzkość i pojmujących, że filozofia dążyć winna drogą dochodzenia prawdy i wykrywania przyczyn do dobra i szczęścia ludzkości. Teraz więc, przy takiem stanowisku filozofii, jakże dobroczynny wpływ przynieśćby mogły postępowi myśli kobiety, które wprowadziłyby do niej cały zasób tylu im właściwych, pięknych i pożytecznych stron charakteru: poezyi, wrażliwości na cierpienia, dobroci itd! Im silniejszy będzie istniał związek pomiędzy duchem uczucia a duchem wiedzy, tem filozofia przyrody szybciej i wszechstronniej odbywać będzie swój tryumfalny pochód, bo tem szlachetniejszy, wyższy i pożyteczniejszy cel mieć będzie przed sobą, tem większy przyjmie udział w losach ludzkości.

J. Nusbaum, kand. n. p.

Z Heidelberga.

Wrzesień, 1883.

Państwa tak zwane drugorzędne szczęśliwszemi są od pierwszorzędnych. — Wycieczka do Holandyi: podróż; fizyognomia kraju. — Lejda; gościnność mieszkańców. — Zjazd oryentalistów: posiedzenie wstępne; podział ua sekcye. — Sekcya aryjska i luminarze jej

Forma listowna, której szanowna redakcya *Prawdy* pozwala mi używać, udziela pewnej swobody i dzisiaj z niej korzystam, zamierzając mówić nie o Heidelbergu i sprawach niemieckich, lecz o świeżo odbytym zjeździe oryentalistów w Lejdzie. Podzielę się przytem z czytelnikami ogółem wrażeń moich z wycieczki do Holandyi i z wystawy amsterdamskiej.

Ciekawy to i mało znany kraik owa Holandya! Usunęła się gdzieś w moczary i topiele, wyciągnęła daleko za morza ramiona swe, ogarniając śliczne wyspy azyatycko-australskie; w sprawy europejskie nie miesza się, mówią o niej rzadko; po holendersku nikt nie czyta; holendrzy mało podróżują po Europie, cudzoziemcy jeszcze mniej po Holandyi; słowem — partykularz to w całem znaczeniu tego słowa, jakaś kraina zapadła, obskurna i głucha. A jednak, przyjrzawszy się bliżej, ileż w niej życia i pracy, jak wysoka cywilizacya, jaka piękna konstytucya, co za lud dzielny, czerstwy i uprzejmy, jakie szkoły, co za miasta, ile kolei żelaznych, jaki handel potężny, jak ogromne kapitały w obrocie, jaki dobrobyt ludu, jaka czystość wzorowa w domach i na ulicach, jakie tryumfy nad złośliwą naturą, która biedny, płaski kraik ciągle chce dnem morskiem uczynić, jakie wspaniałe posiadłości zamorskie, sześćdziesiąt razy większe od szczupłej ojcowizny europejskiej, wydartej hiszpanom i codzień wydzieranej oceanowi!

Goszcząc w drobnych kraikach Europy, w takiej Szwajcaryi, Belgii lub Holandyi, mimo woli przychodzi się do przekonania, że jeżeli może być mowa o szczęściu, spokoju i cywilizacyi, to chyba w nich najwyższych dóbr tych szukać. Wielkie państwa, bawiące się w wielką politykę, w wielkie armie i w wielkie zamiary, doprawdy mniej są szczęśliwe. Mieszkańcy ich chorują na panów, na bohaterów wojennych, na kierowników świata; ryzykują i tracą wiele na śmiałe przedsięwzięcia zdobywcze, niosą w daninie Molochowi wojny kwiat swej młodzieży, a budżetowi wojennemu wszystkie przewyżki i oszczędności, zadłużają się, zaniedbują oświatę i handel, frymarczą wolnością obywatelską dla zyskania znikomej aureoli zwycięzców, a w rezultacie mają nędzę, ucisk i socyalistów (pomyślmy np. o Niemczech i Austryi). Tymczasem cicha Skandynawia, spokojna Belgia, Holandya, Szwajcarya zawstydzą wielkie mocarstwa oświatą, postępem, bogactwem i liberalnością, a mieszkańcy ich dwa razy są szczęśliwsi, zdrowsi i bezpieczniejsi.

Ale dajmy pokój tym smutnym myślom: konieczność jest żelazna, a nasze pragnienia z pajęczyny... Oto parostatek nasz przypływa już pod stopy katedry kolońskiej. Przesiadamy do wagonu i pędzimy ku północy. Wkrótce ostatnie wzgórza nikną z oczu; „wpływamy na suchego przestwór oceanu.“ Równiny zaczynają się około Düsseldorfu i ciągną się bez przerwy aż po morze. Mijamy Crefeld, ów Manchester niemiecki, zatrzymujemy się chwilę w Kempen, ojczyźnie Tomasza a Kempis i stajemy w Venlo, na granicy niderlandzkiej. Zapytują nas, czy nie mamy w tłomokach czegoś, coby cłu podlegało; jak zwykle, odpowiadamy przecząco, nie wiedząc, czego właściwie bez cła do Holandyi wwozić nie wolno; odpowiedź uspokaja celników, zamykają kuferki nie rewidując i za chwilę unoszą nas wagony już holenderskie dalej ku północy. Rozpoczyna się dziwne widowisko: w oknach migają krajobrazy żywcem niby z równin mazowieckich lub litewskich przeniesione; tu łan żółtego piaseczku, pokryty wrzosem kwitnącym, jałowcami i sosenkami; dalej łączka zielona, przecięta rowami, okolona łoziną; to znów maleńkie pole uprawne, obsadzone w kwadrat żywopłotem. Siedzib ludzkich mało, bardzo mało; wioski ani jednej; od czasu do czasu widnieją dworki wiejskie, pokryte słomą, okopane rowami, ocienione kępą drzew owocowych i olszyn. Dworki te stoją o dwie, trzy wiorsty od siebie; bardzo rzadko czyste miasteczko z wieżą kościelną przemknie przed oczami; częściej kanał lub sadzawka błyśnie smugą spokojnej, stojącej wody. Tak wygląda prowincya limburska. Daleko smutniej przedstawia się brabancka, zwana przez krajowców Syberyą holenderską. Całemi godzinami jedzie się przez kępiaste, drobnymi krzaczkami potrząśnięte moczary, na których rzadko gdzie bydło nawet chodzi: step smutny i nagi, przypominający pustkowia między Pskowem a Petersburgiem, lub między Petersburgiem a Moskwą; zamiast moczarów ciągną się czasami jeszcze posępniejsze piaski szarawo-popielate, porośnięte jakąś chudą, podejrzanej barwy zielenią; rzadkie siedziby ludzkie wyglądają jak pustelnie, a jeszcze rzadsze miasteczka jak oazy. Mijamy Helmont, Eindhoven, Boxtel. Tu już widoki się zmieniają. Nawpół dzikie przestworza przechodzą powoli w niezmierzony ocean łąk zielonych, równych jak stół, jaśniejących taką żywą barwą majową, jak murawy na pańskich dziedzińcach. Pole uprawne lub lasek olszowy stanowią rzadkie wyjątki: tłem tutaj bezbrzeżne błonia pastewne, o trawce gęstej i równo przystrzyżonej; dzielą je na równe czworoboki zarośla lub żywopłoty; pasie się na nich niezliczona ilość znanego i u nas biało-czarnego bydła rogatego, trochę koni, owiec i gęsi; wśród nich przechadzają się bezkarnie szare czaple, czyhające na rybki w rowach i kanałach: tak są oswojone z pociągami, że nie raczą nawet spoglądać na przelatujące parowozy. Osady, za-

wsze pojedyncze, stają się gęstszemi, wszędzie okopane szerokimi rowami i połączone grobelką z nasypem kolei lub większemi drogami. Droga tutaj, czy dla koni, czy dla kolei, to nie co innego, jak nasyp, a raczej grobla, bo pod nasypem leży pokład faszyny i kłód: inaczej, ani pociąg, ani wóz nie mogłyby się utrzymać na tem bezbrzeżnem trzęsawisku. Dworek lub wiatrak, to także nasyp, czyli wyspa piaszczysta, sztucznie utworzona, wśród bezgranicznego bagna. Rowów, kanałów, zastawek mnóstwo; wszystko to uregulowane i w karby ujęte; żółto-czarne wiatraczki i legion inżenierów wodnych pilnują wód jaknajstaranniej: wiatraki pompują wodę z niższych do wyższych ścieków i zbytek jej usuwają ku morzu; ludzie regulują wiatraki, pompy i zastawki. Najmniejszy deszcz może się stać groźnym, gdy dozorcy nie dość są czujnymi; w kilka godzin parę mil pastwisk może się znaleźć pod wodą, gdy jej umiejętnie nie oddalono. Człowiek żyje tu w nieustającej a mozolnej walce z siłą neptuniczną. Jedynym orężem jego, działającym skutecznie, jest piasek, a tego niebiosa nie poskąpiły Niderlandom; tylko nasypy bronią od zguby; to też przewożą tu i sypią tyle piasku, jak nigdzie na świecie. Na wystawie amsterdamskiej oglądaliśmy potężną machinę parową, w kształcie tak zwanych żórawi, która chwyta dwoma olbrzymiemi niby dłoniami od razu ze dwie fury piasku, unosi go, uchyla się i wyrzuca na wskazane miejsce.

Minąwszy Tilburg i Bredę, zawsze śród łąk cudownie zielonych i stad żałobnie upstrzonego bydła, dojeżdżamy do arcydzieła sztuki inżenierskiej: jest to olbrzymi most, a raczej wiadukt nad wodą, ścielący drogę przez rozlew Mozy; półtora kilometra ma on długości, a składa się z kilkunastu potężnych łuków żelaznych. Rozlew ten, a raczej zatoka, nazywa się Hollandsch Diep (głębia holenderska); holendrzy nazywają Holandyą tylko prowincyę tego imienia, kraj zaś cały zwą Nederland) i ciągnie się daleko na wschód, rozszerzając się i tworząc dalej spore jezioro; pływa na niem mnóstwo statków żaglowych, a przejeżdżając pociągiem przez most, dotykamy prawie wierzchołka ich masztów.

Dalej Dordrecht i wspaniały Roterdam, z portem dla największych okrętów, z mostem na drugiem korycie Mozy, z pomnikiem sławnego Erazma, pięknymi kościołami i wieżą pochyłą, jak bolońska. Tylko że tu nieumyślnie krzywo ją postawiono: intencya była jaknajprostsza, ale grunt pod murem się ugiął i wieża krzywo dziś stoi. Widać to zresztą i na domach we wszystkich miastach holenderskich: wszystkie bez wyjątku stoją krzywo, na tę lub inną stronę pochylone; tylko najnowsze, bardzo wielkie i masywne trzymają, się prosto. Oczywiście, zawalenia się kamienic często bywają, pomimo grube klamry żelazne, mające ściany umacniać. Zauważyłem, iż holendrzy nie bardze są radzi, gdy to spostrzeżenie im kto powtarza; muszą zbyt często je słyszeć od cudzoziemców, więc się puścili na pobożny wybieg i twierdzą, że to umyślnie tak budowano, aby ułatwić ściekanie wody deszczowej. *Credat Judaeus Apella.*

Zmrok zapada, nie widzimy już tedy ani Delftu, ani Hagi. Tę ostatnią nazywają tu dwojako: na stacyi napisano *Haag*, ale właściwie i urzędownie imię tego miasta brzmi *'s Gravenhagen*, dosłownie zagroda, czyli dwór hrabiowski (*des Grafen Hagen* wyglądałoby to po niemiecku). O dziesiątej wieczorem stajemy w Lejdzie. Uprzejmość komitetu organizującego kongres zawdzięczam, że znalazłem pokoik w hotelu zamkowym; wiele osób, które nie pomyślały zawczasu o gospodzie, musiało szukać pomieszkań prywatnych, co w nocy szczególnie niezbyt jest przyjemnem. Oczekując kilkuset nowych przybyszów, niewielka Lejda (45 tysięcy mieszkańców, niegdyś 100,000), nie wiele licząc na swe szczupłe i nieliczne hotele, przygotowała ze sto pomieszkań prywatnych; a wiedząc, że się zjedzie tłum różnojęzyczny i, bądź co bądź, umiejący po łacinie, karty ogłoszeń kazała wydrukować w tym języku: *Cubicula Locanda.*

Doświadczaliśmy bajecznej gościnności pośród szanownych obywateli Lejdy. Główniejsze ulice przystroiły się w chorągwie; wszystkie zakłady naukowe, biblioteki i muzea stały dla nas otworem, o każdej godzinie; policyanci i stali mieszkańcy ciągle nam się kłaniali na ulicach, najchętniej wskazywali drogę i przeprowadzali, czasem dość daleko; koleje rządowe woziły nas za pół ceny; podczas zbiorowych wycieczek do Hagi i Amsterdamu mieliśmy tam i napowrót bezpłatne ekstrapociągi; wystawa amsterdamska nietylko darmo przed nami się otwierała, ale w osobie dyrektora swojego sama pokazywała nam skarby, pojąc przytem winem szampańskiem. W stosunkach prywatnych mieszkańcy Lejdy rzadką też nam okazywali uprzejmość: zapraszali do domów, bawili i karmili, zadając sobie trud mówienia po francusku, niemiecku lub angielsku, bo oczywiście nikt z gości po holendersku nie umiał.

Dopóki nie są ogłoszone sprawozdania i rozprawy kongresu, trudno jest ogarnąć całą jego działalność, gdyż każdy z członków obecnym bywał na posiedzeniach jednej tylko sekcyi, więc tylko o nich dokładniejsze podać może wiadomości. Sekcyi tych było sześć: semicko - arabska, semicko-hebrajsko-asyryjska, aryjska, afrykańska (egipska), średnio-azyatycka i malajsko-polinezyjska. Podaję tymczasem rys ogólny przebiegu zjazdu i kronikę sekcyi aryjskiej, na której posiedzenia uczęszczałem.

10-go września, przed południem, zgromadzili się na posiedzenie publiczne wszyscy członkowie zamiejscowi, miejscowi, honorowi, delegaci instytucyj i ciał naukowych, władze i dużo publiczności płci obojej w pięknej i obszernej sali miejskiej. Znany profesor teologii w Lejdzie, Kuenen, obrany na przeszłym (berlińskim) zjeździe przewodniczącym, zagaił posiedzenie i ogłosił otwarcie kongresu; przemawiał w języku francuskim, podobnie jak i wszyscy holendrzy, którzy zabierali głos w ciągu trwania zjazdu. Po nim odezwał się minister spraw wewnętrznych, prezes honorowy kongresu, Heemskerk, witając uprzejmie oryentalistów i tłomacząc następcę tronu holenderskiego, który mimo szczerą chęć nie mógł, dla niezdrowia, przyjąć udziału w zgromadzeniu. Obaj mówcy podnosili znaczenie studyów oryentalnych, rolę w nich Lejdy i wogóle Holandyi, oraz opłakiwali świeżo zmarłego profesora Dozy, głośnego oryentalistę. Po nich przemawiali wszyscy ci, którzy składali dary zjazdowi; dary te staną się własnością biblioteki miejscowej. Wreszcie profesor de Goeje wniósł projekt uproszenia zawiadowców muzeum brytańskiego, aby na przyszłość uczonym udzielali rękopisów zakładu swojego do mieszkań, jak to już się praktykuje w innych instytucyach; wniosek ten przyjęto z zapałem i wkrótce przedstawiono odpowiednią petycyę do Londynu.

Zaraz po zamknięciu posiedzenia wstępnego, sekcye rozeszły się po wyznaczonych im lokalach, wybrały sobie przewodniczących i odtąd sejmikowały oddzielnie. Sekcya aryjska mieściła się w jednem z audytoryów uniwersytetu, pięknego gmachu, położonego nad kanałem, ocienionego staremi drzewami, przytykającego do obszernego i ślicznie utrzymanego ogrodu botanicznego. Na przewodniczącego obrano prof. Rotha z Tybingi, dodano mu dwóch pomocników: prof. Webera z Berlina i Liguana z Rzymu; sekretarstwo objęli: Rhys Davids z Londynu i Michel z Leodjum.

Nie będę tu wyliczał wszystkich pięćdziesięciu kilku członków oddziału aryjskiego; po większej części były to imiona znane i zasłużone w nauce. Zwracali szczególną uwagę: bramin indyjski, którego dziwnie brzmiące nazwisko dla ciekawości przytaczam: Sziawiadżi Krisznawarma, pandit, z Oxfordu i czarny prawie młodzieniec z Cejlonu, pochodzenia drawidyjskiego, imieniem Senathi Radża. Pierwszy z nich często przemawiał, używając z wielką wprawą języka angielskiego; obaj ubrani byli po europejsku, tylko pan pandit nosił okrągłą czapeczkę fioletową, aksamitną. Z europejskich uczonych wspomnę kilku następnych: z Francyi Halévy, Leon Feer, Bourquin; z Anglii Cust, Leitner (pochodzenia niemieckiego); z Niemiec Bühler, Schlottmann, Windisch; z Holandyi Kern i wielu innych. Ze słowian ja jeden tylko na posiedzeniach sekcyi aryjskiej bywałem; z polaków zresztą na kongresie nikogo, prócz mnie, nie było. Posiedzeń sekcyi naszej ogółem było pięć, każde po parę godzin.

Zamykam list mój, bo przerósł rozmiary dozwolone. Dalsze szczegóły odkładam do następnego, w którym też i o wystawie amsterdamskiej kilka słów zamieszczę.

Jan Karłowicz.

Z GALICYI.

Lwów, 28 września 1883.

(Stronnictwa w sejmie galicyjskim).

Któryś z warszawskich *Kuryerów* zauważył niedawno, że chińczycy mieszkają w Chinach. Spostrzeżenie to, prawdziwe zresztą, potrzebuje drobnego uzupełnienia. Chińczyków ród rozsiadł się bowiem tak szeroko na całej kuli ziemskiej, że znajdziesz ich w każdym zakątku ziem dawnej Polski: w Warszawie, w Poznańskiem, najmniej zaś... chyba nie w Galicyi. O, posiadamy ich tu dosyć! Jedni mają dłuższe, drudzy krótsze warkocze, ale żaden z nich tego szczególniejszego znamienia chińskiej głowy i chińskiej umysłowości nie jest pozbawionym. Proszę np. spojrzeć na salę sejmową, gdy się w niej zbierze cały zastęp przedstawicieli galicyjskiego i chińsko-galicyjskiego narodu. Co głowa, to warkocz!.. Ludzi bez tej ozdoby — niewielu.

Jedni — powtarzam — mają dłuższe, drudzy krótsze warkocze. Okoliczność to ważna, bo stanowi o przynależności do tego albo owego klubu sejmowego. A mamy ich dwa: krakowsko-podolski (urzędownie: *autonomiczny*) czyli stronnictwo długiego warkocza, i środkowy (zwany także *ekonomicznym*) czyli stronnictwo warkocza krótkiego, półwarkocza. Do pierwszego weszły resztki rozbitego już dawniej klubu reformy (stańczycy) i cały klub podolski, którego żywioły przeważają i rej wiodą w tem nowem kole poselskiem. W skład zaś drugiego wprowadzili ateńczycy — oprócz wszystkich swoich — także secesyonistów z obozu krakowskiego, tudzież znaczną część nowych posłów.

Otóż są owe dwa zorganizowane już całkowicie kluby. Oba konserwatywne, a ta tylko między nimi zachodzi różnica, iż pierwszego barwa jest wyraźnie zachowawczą, podczas gdy drugi utrzymuje, że „zdrowy“ postęp nie jest mu tak dalece wstrętnym. O stronnictwie autonomicznem nie będę się tu wiele rozpisywał. Na czem jego zachowawczość polega — wiecie. Bezwzględna ufność do rządu, albo, jak się u nas mówić zwykło, do „koro-

ny", rozdział między gminą a dworem, obciążanie podatkami klas najmniej zamożnych, w szkolnictwie hasło: *naj bude, jak buwało* — to drogowskazy nowych stańczyków, upokostowanych zlekka na sposób podolski. Znaczy to, że wraz z członkami dawnego klubu podolskiego dążyć mają oni do rozszerzenia autonomii kraju. Dziwna rzecz! Ten punkt programu, na który — znacznie więcej rozszerzony — podpisują się wszystkie stronnictwa naszego kraju, zdecydował o nazwie koła podolskiego, jak gdyby je sobą właśnie wyodrębniał od innych...

Więcej natomiast mam do powiedzenia o klubie środka. Wspomniałem już o nim w zeszłym liście, gdy się organizował, ale dzisiaj dopiero mogę o nim podać bliższe szczegóły. Przed kilku bowiem zaledwie dniami ogłosił on swoj program, który w streszczeniu przedstawia się tak: 1) podtrzymywanie łączności i wzajemnego zaufania między krajem i koroną, „ugruntowanego na dobrze zrozumianym interesie narodowym;" 2) rozszerzenie autonomii kraju zarówno pod względem prawodawczym, jak niemniej i wykonawczym; 3) łączność Koła polskiego w Wiedniu z sejmem i podtrzymanie jego powagi w kraju; 4) naprawa stosunków społecznych przez kolejne usuwanie obecnie istniejących wadliwości, stosownie do warunków i potrzeb kraju, z *poszanowaniem zawsze praw języka ruskiego i obrządku unickiego*, w szczególności zaś dążenie do rozwoju oświaty w kierunku, uwzględniającym *praktyczne* potrzeby społeczeństwa, do rozwoju wszystkich gałęzi produkcyi z *uwzględnieniem równowagi interesów i do słusznego rozkładu ciężarów publicznych*, do ulepszenia organizacyi administracyjnej i reformy sądownictwa „celem zapewnienia szybkiego a słusznego i dla wszystkich warstw ludności przystępnego wymiaru sprawiedliwości i wzmocnienia poczucia prawa," do ochrony siły podatkowej ludności, niemniej też do oszczędności w gospodarstwie krajowem. Piąty wreszcie punkt programu mówi o popieraniu tego rządu, który sprzyjać będzie spełnieniu powyższych zadań a zarazem dążyć do uwzględnienia potrzeb poszczególnych krajów, wchodzących w skład monarchii austryackiej.

Program klubu środka podobał się tu powszechnie. Podpisać by się też mogli nań wszyscy nasi postępowcy i liberałowie galicyjscy, bo jak na klub *środka* w sejmie *galicyjskim* — jest on może nawet zbyt radykalnym. Konserwatyzm przebija tu jedynie z takich zdań, jak: „naprawa stosunków społecznych na zasadzie *kolejnego* usuwania wadliwości, *stosownie do warunków i potrzeb kraju...*", jak gdyby co do naprawy tej ociągać się wolno było i wahać a kolejno usuwać wadliwości, skoro cały ustrój jest wadliwym i chybionym. Zachowawczość klubu widoczną jest także z braków, które znajdujemy w jego programie, a które świadczą o wielkiej powściągliwości na niwie reform społecznych i zbliżają ateńczyków do klubu krakowsko-podolskiego.

A gdzież postępowcy? —pytasz bezwątpienia czytelniku. Gdzie lewica galicyjskiego parlamentu? Eh, *locus* już zaledwie tylko istnieje, *ubi Troes fuerunt*... Może i lepiej, że grono posłów, które zwało się tylko, ale zgoła nie było klubem, rozpadło się dość wcześnie. Może i lepiej... Dlatego to mówię, że odłam ten krajowej reprezentacyi nie posiadał żadnego programu; przystępowali do niego albo wciskali się ludzie rozmaitych przekonań. Większość była oczywiście postępową w guście Hausnera, Czerkawskiego i Romanowicza, ale spotykałeś tam i jednostki, które tylko dlatego w nim się mieściły, że z osobistych pobudek mieścić się nie chciały gdzieindziej.

Nie ma już zatem klubu postępowego! Pozostała tylko garstka posłów na lewicy, z których każdy ma swój osobny program i odrębną taktykę do jego urzeczywistnienia. Usiłowano związać się napowrót w ściślejsze grono, starania te nie odniosły atoli najmniejszego skutku; wątpić też godzi się, aby jakiekolwiek porozumienie osiągnięto. Zgon klubu postępowego nie wywołał w kraju wielkiego zresztą smutku: w sferach konserwatywnych cieszą się z jego śmierci, w postępowych dawno już byli na nią wszyscy przygotowani. Rozbitki z częścią świeżo wybranych posłów, którzy nie przystąpili do żadnego klubu, zwą się obecnie *dzikimi*. Dziczyzny tej liczą sztuk coś czterdzieści...

Mówiłem dotychczas o stronnictwach polskich sejmu galicyjskiego. Wspomnieć mi jeszcze wypada o posłach rusińskich, którzy ukonstytuowali się już w klub osobny pod wodzą ks. Stefana Kaczały. Liczba ich dochodzi zaledwie cyfry jedenastu. Do wybitniejszych z ich grona zaliczam samego przedewszystkiem prezesa, człowieka o dążnościach ugodowych, wybranego w swoim czasie z okręgu czysto polskiego na Mazurach i b. członka Koła polskiego w Wiedniu; lwowskiego profesora Romańczuka, Lewińskiego, sędziego, przeniesionego na Mazury, wreszcie młodego wikarego, ks. Siczyńskiego. Należy tutaj także ks. Tytus Kowalski, wybrany przez szlachtę polską okręgu żółkiewskiego. Z wyjątkiem paru barwy niewyraźnej, wszyscy zresztą członkowie klubu ruskiego zaliczają się do partyi młodoruskiej.

Dążenia ugodowe przejawiły się w sejmie dosyć słabo dotychczas, w każdym jednak razie sprawa ugody rusinów z polakami wejdzie na stół jeszcze w tym roku.

O pracach sejmu w korespondencyi następnej.

Rewera.

LIBERUM VETO.

Obraz niezakwalifikowany do Watykanu.—Ze względów politycznych.—Leon XIII i Leopold, Matejko i Sobieski.—Despekt dla „kraju."—Wątpliwości.—259 guldenów dla Bolesława Śmiałego. — Po coś był śmiałym.— W porę i zawcześnie.—Przekłady czeskie. — List rozczarowanego tłomacza. — Hańba czy głupstwo. — Dawne studnie i nowe zdroje.

Tego tylko brakło!

Jak donosi jedno z pism niemieckich „ojciec święty" postanowił „ze względów politycznych" ofiarowanego przez Matejkę obrazu nie umieścić w Watykanie. Na ten cel zwoła on komisyę, która *„ma wydać opinię*, iż obraz nie kwalifikuje się do wejścia w skład zbiorów watykańskich." Wtedy Leon XIII daruje *Sobieskiego* albo polskiemu seminaryum w Rzymie, albo któremu z klasztorów.

Jeżeli ta wiadomość nie jest prawdziwą, to w każdym razie dobrze skłamana. Bo zauważcie tylko: mistrz krakowski, uznający się za najwierniejszego syna kościoła, ofiarowuje dzieło swe Watykanowi „ze względów politycznych" i papież nie przyjmuje go do Watykanu także „ze względów politycznych." Nadto: „ojciec święty" postanawia naprzód zamknąć drzwi galeryi przed obrazem, a później wyznacza komisyę, która „ma wydać opinię, że obraz nie kwalifikuje się do wejścia." Nakoniec: ów malowany *Sobieski*, który „tam, dokąd z pod Wiednia bieżał goniec z listem królewskim i chorągwią proroka, tam, z Watykanu wymowniej, niż skądinąd" miał „przypominać nieprzedawnione zasługi nasze i prawa"—powędruje teraz do seminaryum lub klasztoru, gdzie przypominać będzie tylko—nasze ludzkie omyłki i psią wierność.

Gdyby doniesienie gazety niemieckiej okazało się prawdziwem, Matejko powinienby cofnąć swój dar, z tej samej racyi, z której każdy dbały o swą godność człowiek, meldujący się w mieszkaniu wielkiego pana, cofa się, gdy usłyszy od lokaja w przedpokoju, że mu wolno złożyć czołobitność— w kuchni.

Ale chociaż z wdzięcznością cesarza niemieckiego za odsiecz Wiednia godzi się zupełnie wdzięczność papieża za ofiarowanie mu upamiętniającego tę chwilę obrazu, chociaż Leon XIII może postąpić tak, jak postąpił Leopold a Matejko doznać losu Sobieskiego, cała jednakże ta wieść wydaje mi się nieprawdopodobną. Dlaczego? Dlatego, że pomimo wszelkich zawodów i doświadczeń trudno nam często uwierzyć w zupełny zanik szlachetniejszych uczuć ludzkich, w możliwość zagłuszenia ich dla interesu. Zapewne, Leon XIII nie zawahałby się poświęcić stu Matejków dla „względów politycznych," ale nie sądzę, żeby on cóś wielkiego na tem wygrał a nie przypuszczam, że bez ścisłego obliczenia skutków ani wielkiego artysty, ani jego „kraju" nie obrazi. Bo, jak przecie wiadomo, mistrz krakowski darował swe dzieło „krajowi," który znowu musiał je złożyć u stóp papieża. Jeżeli więc despekt nastąpi, spadnie on na 12 milionowy naród a dotknie co najmniej jego część galicyjską. Wielu jest lub nawet odezwało się w owej sumie takich, którzy skonfederowali się przeciwko temu hołdowi w imieniu „kraju," ale chociażbyśmy odtrącili wszystkich niezadowolonych, pozostanie jeszcze poważna liczba skompromitowanych odmową synów Kościoła, o których „ojciec święty" dbać musi. Więc... czekajmy potwierdzenia lub zaprzeczenia wieści, a możemy czekać tem spokojniej, że dla mnie i dla moich czytelników cała ta sprawa jest tylko zabawną.

Ale nie zabawną być powinna sprawa innego króla, od którego „tam goniec nie bieżał" — Bolesława Śmiałego. Przed rokiem (*lepszych* nowin brakło) zapłakały dzienniki nad zrujnowanym w Osiaku grobowcem wygnańca. Natychmiast ogłoszono składki, które posypały się tak hojnie, że aż muszę dla uczczenia naszej wspaniałomyślności przytoczyć pisany do nas list proboszcza osyackiego — A. Kraintza. „Według obrachunku przez p. Adolfa Stipapergera, architekta z Klagenfurtu, odnowienie grobowca kosztować będzie 258 złr. 99 centów. Dotąd wszakże otrzymałem tylko 100 złr. i 37 rs. z redakcyi *Prawdy*. Miałem nadzieję dokonania restauracyi w r. 1883, ale przy tak powolnym napływie ofiar jest to niemożliwem." A zatem my, którzy (nie licząc świętopietrza) dajemy papieżowi obraz za kilkadziesiąt tysięcy guldenów, nie mogliśmy zdobyć się na 259 dla polskiego króla! Nigdy chyba prawowierność nasza nie tryskała świetniej, jak z tego porównania. Doprawdy, jeżeli niebo jest przestrzenią ograniczoną, a taką być musi—bo inaczej nie byłoby czyśca i piekła—to nie pojmuję, gdzie my się tam pomieścimy, zwłaszcza że przecie inne narody muszą mieć także dla siebie jakieś kąty.

Biedny Bolesławie — po cóś był *śmiały*, kiedy my czcimy tylko świętych! Gdybyś był *wstydliwym* lub przynajmniej *kędzierzawym*, nie leżałby twój grobowiec w gruzach i nie żałowalibyśmy ci 259 reńskich, które nawet kiepski hrabia galicyjski przegrywa lub przejada w ciągu jednego wieczoru. Doprawdy, lepiej nieraz być pudlem zmyślnym, grzebanym poetycznie w kląbie ogrodu, niż królem... *śmiałym*. Ale ty, Bolesławie o tem nie wiedziałeś; urodziłeś się w porę, ażeby spór rozstrzygać morderczym, dziś już niewłaściwym mieczem, ale za wcześnie, ażeby walczyć z biskupem, chociażby on był — jak Gallus twierdzi — „zdrajcą." Pokutuj za to!...

W jednym z numerów poprzednich skarżyliśmy się w *Prawdzie* na brak u nas tłomaczeń z literatury czeskiej. Otóż ktoś, pobudzony tą uwagą, prostuje ją bardzo obszernym wywodem. Owszem — powiada on — tłomaczą wiele, zwłaszcza młodzież, ale przekłady pozostają w rękopisach, gdyż redakcye od nich stronią, a nakładcy słyszeć nie chcą. „Znam te stosunki, bo... i ja kiedyś byłem Farysem, marzyłem o złożeniu biblioteczki celniejszych dzieł dramatycznych czeskich. Przełożyłem wtenczas *Tylko sługę* Jerzabka i *Rozensberka* Szuberta. Ale cóż! Jedne redakcye odpowiedziały, że nie pomieszczają przekładów (tylko z francuskiego), inne nie „zakwalifikowały" rękopisu do druku. *Obstupui* — jak może nie kwalifikować się do druku utwór, który budzi entuzyazm w narodzie, żywiącym się tą samą, co i my, cywilizacyą? Sądziłem przeto, że p. Lewestam chce mi dać do zrozumienia, iż tłomaczenie jest liche. Zawstydzony, że z czeskiego przekładam gorzej niż z włoskiego, posyłam więc następny rękopis autorowi, prosząc go o zdanie szczere. Odpowiedział mi: „Przekład odczytałem z wielką radością. Jest on na wskróś takim, jakiego sobie życzyć mogę i jeszcze raz dziękuję za gorliwość i sumienność." Nie zrażając się trudnym początkiem, kołatałem dalej. Z jakim skutkiem? Nakładcy mię wyśmieli; jeden tylko B. myśl moją pochwalił, ale nazwał niewykonalną. Zwróciłem się do dyrekcyj teatrów — nawet mówić ze mną nie chciały. Przyjaciele obiecywali zapoznać mię z pewnym literatem wpływowym, dodając otuchy, że kiedy *on* napisze kilka korespondencyj, pochwali, poleci itd! Ale czyż tędy droga. To hańba!"

Hańba to nie jest, ale głupstwem na pewno. Ogół nasz myślący, redaktorowie i wydawcy powinniby pod koniec XIX wieku być tyle dojrzali, żeby ich sąd o literaturze czeskiej nie zależał od korespondentów "wpływowych." A jeśli zależy, to już żadna rada, o którą nas zasmucony tłomacz prosi, nie pomoże. Pomogą jedynie krople nawoływań, spadające ciągle na kamień naszej obojętności względem piśmiennictw pobratymczych. Wreszcie, kiedyś one wyżłobią tę skałę i nakoniec poznamy, że francuskie, niemieckie i angielskie studnie, które dziś prawie wyłącznie nas poją w beletrystyce, nie ugaszą naszych pragnień i że winniśmy czerpać także ze świeżych, ożywczych zdrojów słowiańskich. I to nie dla polityki, nie dla przyjaźni, ale dla własnego dobra. Bezwątpienia, starsza cywilizacya zachodnia rodzi płody dojrzalsze, ale wiele jej ideałów i stosunków jest dla nas obcych, przez wiele jej stopni nigdy nie przejdziemy. Tymczasem losy, dążenia, ideje społeczeństw pokrewnych w naszem odbijają się lub odbić mogą. Dlatego właśnie bardziej pouczającą dla nas być winna powieść czeska, niż francuska.

Nie? Droga dla wszystkich gustów otwarta; my tylko wskazujemy naszą.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Społeczeństwo pod mikroskopem. — Fabryki kadzidła i nieszczęśliwi restauratorowie. — Wystawa rolnicza w Mińsku. — Metoda „poświadczalna" i jej skutki. — Kilka słów o wystawie kijowskiej. — Punkt styczny obu.

„Perspektywę" przyjdzie mi wkrótce porzucić ze względu na współzawodnictwo pism, badających nasze życie społeczne przez „mikroskop." W sztuce łudzenia siebie naszą żywotnością, naszem „przebudzaniem się" doszliśmy do niepospolitej wprawy. Niech tylko pan Jacenty z Pacanowa sprawi sobie nową kapotę, a wnet zaczniemy unosić się nad nim, jako nad opiekunem krajowego przemysłu; jeżeli zaś jaki emeryt kupi w miasteczku kamienicę i założy przy niej ogródek — zaliczymy go w poczet ojców narodu.

Takiem właśnie uwielbieniem zapałał hrubieszowski korespondent *Słowa* dla niejakiego p. K., który nabył starą ruderę z obszernym placem, założył w tem miejscu ładny ogród owocowy i warzywny, a z wiosną zamierza wybudować dom murowany—piętrowy... „Temu samemu panu K. należy się uznanie za dobre chęci w celu podniesienia przemysłu krajowego, gdyż *poznawszy potrzeby miejscowe*, postarał się o założenie fabryki kafli, co w tym roku miało miejsce."

Aby zasłużyć na uznanie szanownego ogółu, czytającego *Słowo*, obiecuję solennie, iż, jak tylko otrzymam duży spadek, natychmiast zbuduję w Warszawie kika wielkich kamienic i założę w okolicy jakąś fabrykę. Czyniąc to, będę miał na widoku głównie, „miejscowe potrzeby" mojej kieszeni, co jednak nie przeszkodzi gazetom wmawiać we mnie „dobre chęci, w celu podniesienia przemysłu krajowego." Apoteoza ideałów kupieckich rozpoczęła się u nas z chwilą, kiedy założono w kraju kilka dużych fabryk, wyrabiających kadzidło wzajemnej adoracyi. Od owej chwili niepodobna już było otworzyć w mieście szynku lub restauracyi, poprawić dachu na własnej kamienicy bez tego, aby jednocześnie nie wsadzono nieszczęśliwego restauratora naumęczoną szkapę publicznego dobra. Łagodne to zwierzę dotychczas nie przywiozło nam żadnego prawie większego ładunku, gdyż bez wytchnienia musi obiegać wszystkie zakątki, w których dymi się bodajby asfalt poprawianych chodników.

Żywiąc się okruchami życia, tracimy równowagę wobec poważniejszych jego objawów. Dowodem — zamknięta przed kilku dniami wystawa rolnicza w Mińsku. Dochodzą mię o niej różne wieści, z których jednym sprawiedliwość, innym może niechęć prywatna dała początek; wszystkie jednak w niezbyt świetnych barwach malują ów pierwszy występ mińskiego Towarzystwa rolniczego.

Posłuchajmy najprzód głosu *Kuryera Warszawskiego*, którego korespondent należy do spostrzegaczów bardzo *łagodnych*. Powiada on, iż urządzającym wystawę zbywało przedewszystkiem na duchu organizacyjnym, choć znowu nikomu nie brakło tam energii i znajomości rzeczy. Ponieważ nie możemy wyobrazić sobie światłego i energicznego ogrodnika, któryby nie umiał np. sadzić kapusty, więc jeden z przymiotów komitetu wystawowego zwrócimy pod adresem korespondenta. Najstosowniej będzie uznać w jego piórze zbyteczną *energię*, która mu podyktowała tyle sprzecznych wyrazów i zdań. Wystawców było stosunkowo niewielu, gdyż tylko mieszkańcy bliższych powiatów stawili się do apelu. Korespondentowi *Kuryera* zdaje się, iż źródła złego trzeba tu szukać w upartem milczeniu komitetu, który o wystawie nikogo nie zawiadomił *urzędownie*. Milczenia tego nie chwalę, ale wielkiej wagi doń nie przywiązuję. Jeżeli my, siedząc tutaj w Warszawie, od niepamiętnych czasów czytaliśmy gazeciarskie wzmianki o mających się odbyć w Kijowie i Mińsku wystawach rolniczych, to czytać je mogły i osoby interesowane z prowincyi. W szeregu przyczyn, paraliżujących dobre chęci wystawców, były, oprócz tysiąca innych, także owe policyjne formalności, poświadczenia itp. jakiemi komitet rzecz całą obstawił. My, panie dobrodzieju, jesteśmy butni i nie lubimy wogóle, kiedy nam lada chłystek w drogę wchodzi, a cóż dopiero mówić o oburzeniu szlachcica, gdy się dowiedział, że ulubiony jego gniadosz lub siwosz — perła stadniny, nad którą unosi się pachciarz i sąsiedzi, że jego, powiadam, rumak będzie się musiał legitymować i dowodzić, iż światło dzienne rzeczywiście w Brzozowej Wólce po raz pierwszy zobaczył.

Szlachcic ze swego stanowiska miał racyę. Komitet wystawowy na stanowisku tem stanąć nie umiał.

Bezzasadność i bezskuteczność metody „poświadczalnej," szkodliwość jej dla interesów wystawy ujawniła się też niebawem. Odmówiono nagrody, dla braku poświadczeń, pewnemu ziemianinowi, którego wzorowe gospodarstwo nietylko gubernia mińska, ale i wszyscy ukształceni rolnicy innych gubernij znają oddawna. Hrabia, jako hrabia, nie chciał się poddać przepisom obowiązującym szlachtę i chłopów. Śmieszne to zapewne, ale nie każdy znów może mieć „przekonanie" do chińszczyzny i bezsensownej formalistyki. Jeżeli metoda poświadczeń była w pewnych razach szkodliwą, to w innych, jak przypuszczałem już dawniej na tem miejscu, nie miała ona żadnego pozytywnego znaczenia. Dlatego też w *Mińsku* nagrodzono owoce, przywiezione z *Łowicza*. Prawdziwy to zaszczyt dla ogrodników łowickich i dla... *świadków* owego „jabłecznego" wystawcy.

Wogóle myliłby się ten, ktoby sądził, iż odznaczono tam wystawców za piękne okazy. Przeciwnie, jako podstawę przy ocenach przyjmowano wszelkie szersze poglądy filozoficzne i posługiwano się wszystkimi zmysłami — oprócz wzroku. Najpiękniejsze prawie (z obecnych) okazy bydła nie otrzymały żadnej nagrody dlatego tylko, iż obora ich właścicielki nie jest dzisiaj w tak świetnym stanie, jak była przed laty 60, że więc żadnych nie zrobiono postępów. Nie powiedziałbym ani słowa przeciwko temu wyrokowi sędziów, gdyby zaraz po nim nie przyznali oni pierwszej nagrody ziemianinowi, którego *postęp gospodarski* odbywał się dotychczas w kierunku bankructwa i który ze znacznego posiadacza stał się już dzisiaj dzierżawcą, a nadewszystko, gdyby ci sami sędziowie nie nagrodzili dużym medalem roślin egzotycznych, wystawionych już po *raz trzeci* bez żadnego „postępu."

Wszystkie owe dziwolągi mój korespondent przygodny tłomaczy tem, iż „panowie wystawcy byli zarazem i ekspertami, więc ci tylko podostawali nagrody, którzy należeli do ekspertyzy." Niektórych obywateli, według niego, zabiegi około utrzymania medalu kosztowały po 1,000 rs. Z liczby wystawców najsmutniej przedstawiał się stan włościański (jeden tylko wystawca — z cebulą), z inwentarzy zaś wystawionych — nierogacizna, której wcale nie było.

Pod tym ostatnim względem zupełne przeciwieństwo z Mińskiem stanowił Kijów, który dał możność bawiącym tam anglikom napawać oczy widokiem tłustych, bardzo tłustych wieprzów. Pod innymi względami wystawa kijowska również przewyższała mińską, jak tego zresztą można się było spodziewać. Tylko woły stepowe nie dopisały jakoś — tam nad Dnieprem; stąd gazety codzienne biorą asumpt do smutnych rozmyślań.

Było jednak coś wspólnego w obu wystawach: w liczbie zwiedzających je i nad Dnieprem i nad Świsłoczą widziano nietylko ludzi, ale i ptaki. W Kijowie za jakimś ciekawym obywatelem chodził poważny pelikan; w Mińsku wśród gwarnego tłumu uwijały się „papugi" i „sroki," których mińsko-francuska paplanina budziła podziw w sercach fornalów, pilnujących inwentarza.

Maryan Bohusz.

Wilno. W majątku Waka, Jana Tyszkiewicza, niedaleko Wilna, okradziono kaplicę, pod którą znajdowały się groby familijne.

Sosnowiec. Służący miejscowego lekarza, otrzymawszy od woźnego komory nieco olejku z gorzkich migdałów i wypiwszy go z siostrą, zmarł z nią wskutek otrucia.

Kalisz. W zeszłym tygodniu zdarzył się tu fakt niesłychany—areszt miejski przez dzień cały nie miał ani jednego lokatora. Pierwszy to raz od lat dwudziestu.

Grabowiec, małe miasteczko w Lubelskiem, stało się areną walki dwu rabinów. Mieszkańcy podzielili się na dwa stronnictwa: jedni podtrzymują starego cudotwórcę, drudzy jego młodego współzawodnika. Wzajemna nienawiść doszła do tego stopnia, że w nocy podpalono dom starego rabina; posądzeni o udział w tem przestępstwie jego przeciwnicy zostali już aresztowani.

Lublin. W Kosarzewie górnym gajowy przy obchodzie lasu spostrzegł dwu chłopców włościańskich, zrywających orzechy, a gdy ci zaczęli uciekać, wystrzelił i jednego z nich śmiertelnie ranił. Czy i to ma być „słuszna obrona praw własności większej?“

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 5 października.

Zwycięska Germania. — Przyjęcie króla Alfonsa w Paryżu. — Sprawy bulgarskie i serbskie. — Projekt Tiszy.—Nowe doświadczenia konstytucyjne sejmu galicyjskiego.

Dwudziestego ósmego września w Niederwaldzie, w obecności cesarza Wilhelma, otoczonego gronem wasalów i sprzymierzonych monarchów, uroczyście poświęcony został pomnik „Zwycięskiej Germanii.“ Rzeczywiście, dziś bardziej niż kiedykolwiek, Niemcy mogą sięgać po ten tytuł; zwerbowanie do przymierza kilku nowych państw i świeże zwycięztwo niemieckiej polityki w Bulgaryi dają im do tego prawo. Potęga wojenna i blask zewnętrzny nowego cesarstwa doszły do kulminacyjnego punktu; tylko ukryte pod tą pozłotą niezadowolenie wewnętrzne i zbytnia drażliwość, którą nawet zwyczajna mowa generała Dragomirowa, wygłoszona w kole oficerów francuzkich, wzburzyć może—świadczą, że gmach ten wspaniały zbudowany na piasku, że żelazny kolos opiera się na glinianych nogach.

Król Alfons hiszpański przy tej uroczystości mianowany został szefem 15 pułku ułanów, pomieszczonego w Strasburgu. Wiadomość o tem wywołała w Paryżu oburzenie, tem bardziej, że ułani używają we Francyi najgorszej sławy. Prasa radykalna wezwała lud paryski do manifestacyi i przybywającego Alfonsa tłumy Paryża obrzuciły obelżywymi wykrzyknikami, a nawet jakaś dama uderzyła go podobno parasolką. „Precz z pruskim ułanem“, „Chowajcie zegary“ i t. p. obelgi brzmiały nietylko z ust tłumu, ale i ze szpalt dzienników. Sfery urzędowe nadzwyczaj grzecznem przyjęciem starały się zatrzeć nieprzyjemne wrażenie i monarcha hiszpański odjechał pozornie ułagodzony, a przynajmniej nadrabiający miną. Poważniejszych zawikłań wypadek ten prawdopodobnie nie wywoła; politykom warszawskim, uważającym go za coś nadzwyczajnego i przepowiadającym nieszczęścia, przypominamy, że daleko gorsze awantury zdarzały się już w Paryżu, jednakże żadnych skutków nie pociągnęły za sobą.

Przed kilku dniami krążyły pogłoski o ucieczce księcia bulgarskiego do Wiednia. Pogłoski te nie sprawdziły się, owszem książę Aleksander i lud są wzajemnie z siebie zadowoleni—nie wiadomo tylko, czy na długo. Przywrócenie konstytucyi i utworzenie narodowego ministeryum uważane są jako tryumf polityki niemieckiej. W tym duchu przemawia nawet *Journal de St. Petersbourg*, twierdząc, że Rosya dokonanego przewrotu nie pochwala, ale czynnie przeciwdziałać mu nie myśli. *Nowoje Wremia* idzie dalej i posądza księcia o zdradę interesów bulgarskich i o zamiary zupełnego wyzwolenia swego państwa z pod wpływów Rosyi. Z powodu tego niektóre dzienniki uchyliły zasłonę i obwieściły wiele ciekawych szczegółów. Okazuje się, że książę Battenberg otrzymał znaczne zapomogi; dosyć powiedzieć, że zmarła cesarzowa z własnej szkatuły dała mu na wyekwipowanie się 1,000,000 rubli. Wobec dowodów tej szczodrobliwości ex-porucznik pruski okazał się co najmniej niewdzięcznym.

Król Milan powrócił wreszcie do Belgradu. Radykaliści rządzą w skupczynie prawie bez oporu. Dodajmy, po zwycięztwie okazali sporo politycznego taktu. Przywódcy ich oświadczają, że skupczyna zatwierdzi konwencye kolejowe, w sprawach zaś wewnętrznych żądają tylko zmniejszenia wydatków i zaprowadzenia oszczędności do budżetu. W sprawach polityki zewnętrznej pragną, żeby Serbia zachowała stanowisko samodzielne. Ostrze tego żądania skierowane jest przeciw Austryi, ale dla rządu wiedeńskiego przedstawia przynajmniej tę korzyść, że na miejsce wpływów austryackich nie stawia żadnych innych, co niewątpliwie miałoby miejsce, gdyby władza dostała się w ręce Risticza. Na wskazanych wyżej warunkach ugoda między rządem i przedstawicielstwem narodu jest zupełnie możliwą.

Parlament węgierski zajął się uporządkowaniem spraw chorwackich. Tisza wystąpił z projektem, rozstrzygającym kwestyę napisów w duchu żądań partyi narodowej i obiecującym jaknajprędsze mianowanie bana i przywrócenie rękojmij konstytucyjnych. Projekt ten posłowie chorwaccy przyjęli do wiadomości, ale sięgają dalej, życzą bowiem sobie przejrzenia wszystkich punktów ugody węgiersko-chorwackiej, na co znowu madziarzy przystać nie chcą. Wyroki sądów zagrzebskich, jakkolwiek względnie bardzo łagodne, podsycają oburzenie powszechne. Skrajni patryoci o żadnym kompromisie nie myślą, lecz żądają wprost odłączenia Kroacyi od Węgier. Dzienniki radykalne nawet posłów chorwackich nazywają zdrajcami kraju za ich pojednawcze skłonności.

Sejm galicyjski dotychczas jeszcze uporać się nie może z zatwierdzeniem wyborów. Wobec zapowiadanego głośno porozumienia z rusinami dziwnie trochę wyglądają unieważnienia mandatów posłów ruskich, tembardziej gdy, jak to miało już miejsce, sejm nie rozpisuje nowych wyborów, lecz zatwierdza po prostu kandydata polskiego.

Lwów. Sejm rozpoczął posiedzenia, które trwać mają do końca miesiąca. Grocholski przedstawił podpisany przez 39 posłów wniosek, ograniczający dowolność dzielenia gruntów włościańskich i zawierający zreformowanie całej w tym względzie ustawy, a zwłaszcza prawa spadkowego. Konieczność tej zmiany wskazują ciągle mnożące się wypadki ruiny gospodarstw drobnych. Wniosek odesłano do komisyi.

— Krakowskie Towarzystwo oświaty ludowej wniosło prośbę o zniesienie chederów.

— Poseł Wrotnowski wystąpił z projektem poddania źle prowadzonych kas gminnych pod zawiadywanie wydziałów powiatowych.

Berlin. *Nordd. Allg. Zeitung* oświadcza, że pogłoski o zjeździe monarchów są bezzasadne, gdyż ani z rosyjskiej, ani z niemieckiej strony nie myślano dotąd o podobnem spotkaniu.

Metz. Głośny w ostatnich czasach poseł z tego miasta do Izby niemieckiej, któremu wzbroniono wydawać dziennik francuski i którego listy prywatne przy rewizyi zabrane niedawno wydrukowała *Nordd. Allg. Zeitung*, został oskarżony o zbrodnię stanu i aresztowany.

Belgrad. Król powierzył utworzenie nowego gabinetu Christiczowi.

Petersburg. *Journal de St. Petersbourg* gromi prasę zagraniczną za szerzenie wieści o zbrojeniu się Rosyi, fabrykowanych, według niego, w Krakowie.

Madryt. Odbyła się rada ministrów w sprawie gorszącego przyjęcia króla Alfonsa przez ludność paryską.

Poznań. *Kuryer poznański* zaprzecza wieści, jakoby kardynał Ledóchowski zrzekł się stolicy arcybiskupiej poznańsko-gnieźnieńskiej.

Petersburg. Stan *obrony wzmocnionej* został przedłużony na rok jeden we wszystkich miejscowościach, w których istniał poprzednio i zaprowadzony na nowo w Saratowie i w powiecie saratowskim.

CUDZE GŁOSY.

Pożegnanie ułaskawionych. Gazeta *Sibir* takie moralne świadectwo wystawia powracającym do kraju z mocy manifestu—polakom.

„Przeszło dwadzieścia lat temu kilka tysięcy polaków zesłano na Syberyę. Wielu z nich zmarło w kraju surowym z nędzy i braku środków do życia, jak również dzięki trudnym warunkom i otoczeniu, w których znaleźli się tutaj ci młodzi (po większej części od 17 do 25 lat wieku) i niedoświadczeni ludzie. Nawet połowa wszystkich osiedlonych w Syberyi nie dożyła do dzisiejszych czasów. Obecnie, na mocy Najwyższego manifestu, prawie wszyscy powracają do ojczyzny. Co oni dali Syberyi? Jaki ślad pozostawią tutaj po sobie? Jakie wyniosą ztąd wspomnienia o kraju naszym i o nas samych? Po przybyciu na Syberyę i po uwolnieniu ich z więzień i z pod ciągłego nadzoru, polacy niezrozpaczyli i nie rzucili się na łatwą zdobycz. W celu zarobienia środków do życia, zaczęli zajmować się handlem, rzemiosłami, a nawet czasem rolnictwem. Bardzo wiele przyczynili się do rozwoju rzemiosł i ogrodnictwa w Syberyi. Student-matematyk imał się ślusarki, farbiarstwa, stolarstwa, stawał się zegarmistrzem; obywatel ziemski wyuczał się wyrabiać i sprzedawać kiełbasy, bułki, ciastka. Wędlarnie, cukiernie i kilka innych gałęzi przemysłu wyłącznie tylko polakom zawdzięczają swoją egzystencyę i rozwój następny w Syberyi. Przedtem nie było tam ani restauracyj, ani kawiarni, ani porządnych hotelów. Do obyczajów i stosunków narodu i społeczeństwa syberyjskiego, przez czas swego 20-letniego pobytu na Syberyi, wnieśli polscy zesłańcy polityczni niektóre swe narodowe, sympatyczne przymioty, jako to: grzeczność, wstrzemięźliwość, takt i nadzwyczaj ludzkie, odrazu w oczy wpadające obchodzenie się ze służącymi. Polacy bezwątpienia przyczynili się wiele do podniesienia poziomu rozwoju średnich i niższych klas społecznych. Niepodobna pominąć milczeniem prac uczonych, znanych naturalistów i geologów, z pośród zesłanych polaków, naprzykład: Czekanowskiego, Dybowskiego, Czerskiego i innych. Niepodobna zapomnieć również wielu lekarzy-polaków, którzy życiem przypłacili praktykę lekarską. Nazwiska Łagowskiego, Zimińskiego, Czeczkowskiego, Jarockiego i wielu innych długie czasy jeszcze Syberya pamiętać będzie. Syberya wie i umie cenić te zasługi polaków-zesłańców politycznych. Lud syberyjski i całe społeczeństwo będą im za to wdzięcznymi. Sybiracy narówni z polakami witają manifest Najwyższy i na drogę do ojczyzny towarzyszą polakom uczucia jak najżyczliwsze.“

Szydło z worka... wylazło. Nawet w *Gazecie Nar.* ktoś tak skarży się z Rzymu:

„Z okazyi jubileuszu odsieczy wiedeńskiej wystosował papież Leon XIII serdeczny, własnoręczny list do cesarza Franciszka-Józefa, w którym Austro-Węgry nazywa przedmurzem nowoczesnej cywilizacyi świata i ubolewa, iż kościół i papiestwo, jakkolwiek zawsze dążyły ku postępowi, muszą tymi czasy poprostu walczyć o byt swój. Jak wiemy, udzielił papież przy tejże okazyi błogosławieństwa swego Austro-Węgrom, mimo że węgry w r. 1683 dzielnie walczyli w awangardzie tureckiej, i zasługa ks. Lotaryńskiego w tem głównie polega, że nadzwyczaj zręcznymi manewrami umiał zapobiedz usadowieniu się Tekelego na lewym brzegu Dunaju ku Morawie

Polsce, polakom, nic się nie dostało od Leona XIII przy tej okazyi, a przecie „nowoczesna cywilizacya świata“ jest córą chrześciaństwa, tego zaś przedmurzem była Polska, i nuncyusz błagał Jana III: „królu, zbaw chrześciaństwo!“ Ani na najmizerniejsze nabożeństwo nie zdobyto się w Watykanie d. 12 b. m. Dotychczas była stolica apostolska matką wiary i ludów — dzisiaj chyba zamienia się w córę dyplomacyi! Ależ w takim razie, czemuż utyskuje, iż musi walczyć po prostu o byt swój?“

Pomału — pomału przecieramy sobie oczy.

Nad Bulgaryą zawisła chmura. Stronnictwo liberalne, poszedłszy widocznie dalej, niż się spodziewano, ściągnęło na siebie niełaskę *Journal de St. Petersbourg*. Mianowicie, ponieważ według manifestu z r. 1881 konstytucya tirnowska zmienioną być miała przez Zgromadzenie narodowe, obecnie zaś będzie nad nią obradowało „Sobranie,“ a nadto ponieważ nowe ministeryum zbyt wyraźnie objawiło swą samodzielność, więc

generałowie rosyjscy—powiada ów organ półurzędowy—podali się do dymisyi, gdyż nie chcieli być członkami takiego gabinetu i musieli odmówić solidarności z niebezpiecznemi rozporządzeniami, za których następstwa odpowiedzialność spada wyłącznie na księcia Aleksandra i jego doradców... Rosyę zbyt żywo obchodzą losy Bulgaryi, ażeby mogła pozostawać obojętnym widzem wypadków.

Artykuł ten sprawił silne wrażenie za granicą. Osłabia je wszakże inny artykuł *Journal'a*, który dowiedziawszy się o uroczystem pożegnaniu odjeżdżających generałów rosyjskich z Sofii, pisze:

„Rosya wypowiedziała swoje niezadowolenie przez życzliwość dla Bulgaryi; jeśli zaś doradcy ks. Aleksandra zdołają zapewnić krajowi pokój i pomyślność, będzie ona z tego zadowoloną. Demonstracya na cześć Rosyi świadczy, że w Sofii pojmują trudność położenia.“

Jak widzimy droga do porozumienia się otwarta przez ten sam *Journal*, który ją zamknął. Czy Bulgarya odpowie oczekiwaniom?

KRONIKA BIEŻĄCA.

Koleje. Spółka zagraniczna wniosła znowu podanie o koncesyę na drogę żelazną z Kalisza do Łodzi.

— Między Petersburgiem a Paryżem mają być wkrótce zaprowadzone pociągi błyskawiczne przez Wilno, Wierzbołów i Berlin z szybkością 11 mil na godzinę.

— Kolej nadwiślańska otrzymała od ministeryum wzór wzięty z orenburskiej do zmniejszania etatów. Zarząd jej wszakże wykazał, że ministeryum pomyliło się, gdyż administracya drogi orenburskiej jest kosztowniejszą.

— Kolej Żabińsko-pińska delegaci ministeryum odebrali urzędownie.

Przekłady. Księgarnia Reinwarta w Pradze czeskiej, zamierza wydać w tłómaczeniu wybór pism Kraszewskiego.

Wydawnictwa. Księgarnia londyńska Korby and Endean wydaje dzieło: *Poland* z illustracyami, wykonanemi przez rysowników warszawskich, Korsaka i Andriollego.

Mianowania. Pomocnik naczelnika kancelaryi generał gubernatora odeskiego Kaczanowskij mianowany został zarządzającym wydziałem obcych wyznań w Królestwie Polskiem.

— Dr. L. Nenckiemu powierzono sprawy sanitarne przy urządzaniu fabryk i sądowo-lekarskie w gubernii warszawskiej.

Nowy totalizator powstał w prasie naszej ze sprawy panny Herman. Jedne pisma stawiają na pogłoskę, że artystka zawarła kontrakt, inne przeciwnie, że nie zawarła.

Regulacya Wisły. Delegaci rządu rosyjskiego przybyli do Krakowa dla porozumienia się z komisyą austryacką co do uregulowania Wisły. Roboty mają być wykonywane częściowo, a ukończone w 1893 r.

Pożar. Spaliła się fabryka kafli przy ulicy Chłodnej; straty wynoszą 60,000 rs.

Uniwersytet. Na bieżące półrocze akademickie prof. Kariejew wyznaczył z historyi powszechnej temat: „wykazać szczegółowo powody objawów i warunki rozszerzania się reformacyi rewolucyjnej z XVI wieku w oddzielnych krajach Europy.“

Statystyka. Według nowych obliczeń ziemia posiada podobno 4,427,000,000 mieszkańców (w Europie 309,000,000). Z tej liczby ma umierać dziennie 67,790.

Teatr. Na scenie warszawskiej przedstawiono dramat A. Daudet'a i A. Belota. *Fromot junior* i *Risler senior* z małem powodzeniem.

Kanalizacya Warszawy postępuje dość szybko, gdyż wkrótce mają być sprawione już meble do biura p. Lindleya.

Literatura polska. *Gazeta rolnicza* podjęła myśl wydania biblioteki dla użytku gospodarzy wiejskich.

Zmarli. Wincenty Kosiński inżenier zachodniego okręgu górniczego w Królestwie Polskiem, wskrzesiciel kopalni olkuskich — w Warszawie.

— Józef Radgowski.

Kraszewski, stawał przed sędzią śledczym w Berlinie, ale wrócił znowu do Drezna; śledztwo ma potrwać jeszcze miesiąc.

Szarada Co to jest? — „Ale nie mamy szczęścia, biedne miasteczko, los nas prześladuje, jak litery *h* i *ch* w Krakowie. Prawda, że litery te są nieszczęśliwe niemal w całym świecie. Włosi piszą *h*, ale go nigdy nie wymawiają; nasze brzmienie *ch* jest im także nieznanem, jak (?) chyba w dyalektach. Zupełnie to samo powiedzieć można o francuzach, których aspirowane nawet *h* brzmi bardzo niewyraźnie. I anglicy nie mają *ch*, a z literą *h* rady sobie dać nie mogą, zwłaszcza Londyńczycy—wymawiają ją bowiem tam, gdzie jej nie ma, a gdzie jest, opuszczają. W polskim języku *h* prawie wszędzie ustąpiło przed *g*, ale przecież nie znikło zupełnie. Mówimy *ganić*, ale mówimy także *hańba*. We wschodniej Galicyi odróżniamy też dokładnie *h* od *ch* w wymowie“... I tak dalej w podobnym guście. Co to jest? Jest to ustęp z *dowcipnej* i *humorystycznej* kroniki Lama w *Gazecie Lwowskiej*. O, cóż się też stało z piórem Lama!

Bibliografia polska. *Szkice Klina*, część II-ga, zeszyt IV. *Przedesnem*. Drugi wyimek z pamiętników marzyciela, Warszawa.

— Kappapiro. *Przyczynki do sprawy pisowni polskiej*. Kraków.

— Barta. *Materyały do ichtyologicznej fauny Dniestru i jego dorzeczy*. Lwów. Nakładem polskiego Towarzystwa przyrodników im. Kopernika.

Dr. Leon Kulczyński. *Wykształcenie nauczycieli gimnazyalnych*. Lwów.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. M. K. Nie znając adresu pańskiego, musimy z tego miejsca odpowiedzieć, że nie artykuł Pana, ale list zasługuje w zupełności na tytuł „Tere-fere-kuku!“ Pociesz się Pan—i my żałujemy.

Prenumeratorowi. Przeszlij Pan uwagi swoje redakcyi *Wszechświatu*, może ona pomyśli o takiem wydawnictwie. W każdym razie specyalne prace przyrodnicze, chociażby niezrozumiałe dla ogółu, z naszej literatury ustępować nie powinny, boć badania ścisłe są pierwszą krynicą wiedzy.

P. H. W. Nie słyszeliśmy. Zdaje się, że z pewnością—nie. Tylko niemieckie.

P. G. U. Myśl dobra, ale rozwinięcie jej w szczegółach często słabe i do rymów naciągane. Prosimy o drugą próbę.

P. Aleks. G. w Hrubieszowie. Nawał pracy nie pozwala nam przeczytać i odpowiedzieć natychmiast.

P. Witalisowi w M. L. Nie dla nas. Rękopis zatrzymamy.

P. J. Stoż. Nie.

OFIARY.

Dla biednych. J. S. z Kozłowa kop. 50.

Na teatr w Poznaniu. Od studentów z dnia 25 września rs. 16 kop. 87.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Сентября 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Swiętochowski.